ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 11(36) • Listopad 2008 • Cena 2,00 zł

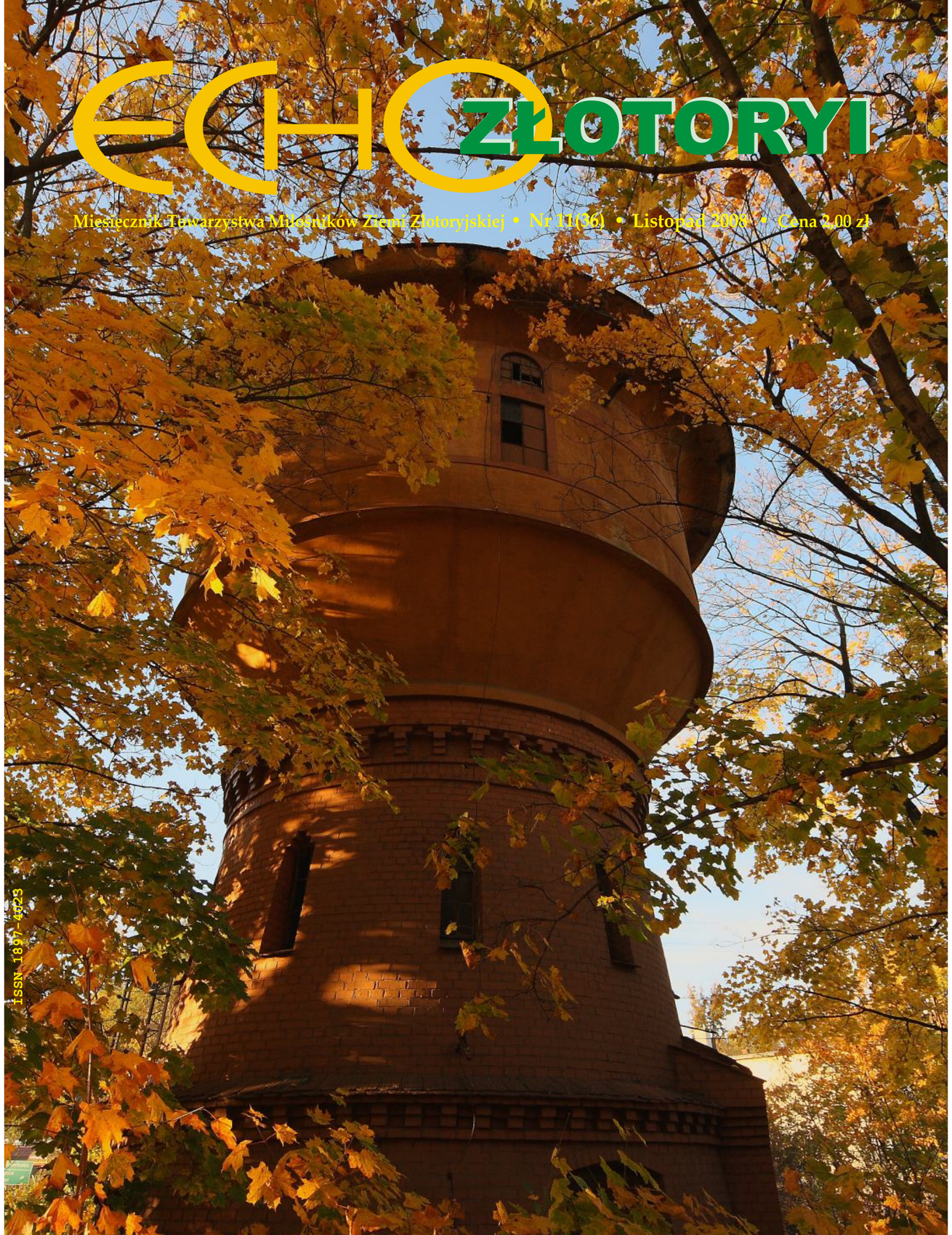

ISSN 1897-4023

Rondlenie

Pobując włączyć się do ruchu na ul. Legnickiej, jak zwykle ciepło pomyślałem o obwodnicy Złotoryi. Silnik zdążył się już nagrzać, zanim w sznurze jadących w jedną i drugą stronę samochodów pojawiła się przerwa na tyle duża, abym mógł wpisać się w ten konwój sunący powoli do miasta.
Po chwili jednak samochody zatrzymały się, któryś z uprzejmych kierowców zahamował przed wyjazdem z Vitbisu, aby umożliwić kilku czekającym tam pojazdom włączyć się do ruchu. Znowu ruszyliśmy powoli, acz dostojnie. Taka powolna jazda ma swoje zalety, można podziwiać otoczenie. Przed ulicą Chojnowską znowu na moment zatrzymaliśmy się, by po chwili wjechać na niewielkie rondo - zwane potocznie staroścaińskim. Jak wieść powiatowa niesie, Pan Starosta tak długo nękał różnych urzędników od dróg wojewódzkich, aż ci na odczepnego, wybudowali piękne i jak sama nazwa wskazuje - okrąglutkie rondo. Póki co na środku jest trawnik, ale już grono szanowanych obywateli naszego miasta myśli o wzniesieniu tam pomnika... Ruch się upłynnił, więc pomknąłem 50 km/h w górę Legnickiej, pamiętając, żeby przypadkiem na wysokości Biedronki nie zrobić sobie pamiątkowego zdjęcia. Na ul. Staszica odstałem w długiej kolejce, zanim załapałem się na zielona falę.
Minąłem światła i już po chwili moim oczom ukazał się zielony grzybek pośrodku Ronda Reymonta. Złośliwi, których nigdy nie brakuje, mówią, że na decyzję o przeniesieniu grzybka z rynku, spod magistratu, miał wpływ zapach przypalonego oleju, który drażnił obradujących w nowej siedzibie radnych.
Jak zwykle znaleźli się malkontenci, którym nie w smak było umieszczenie tego przybytku jadła i napoju w nowym miejscu u boku laureata Nobla. Bredzili coś o zepsutym krajobrazie, że grzybek nie pasuje do pobliskiej Baszty i takie tam... Na szczęście pan Burmistrz nie dał się zwieść tym głosom i oświadczył, że grzybek stać tam będzie dopóki sam się nie rozleci.
Okrążając rondo, zdążyłem zobaczyć, co dzisiaj serwuje się na obiad...
Gdy miałem już wjeżdżać w ul. Wojska Polskiego, rozległo się głośne pikanie - w panice rozejrzałem się po kabinie samochodu, próbując zlokalizować źródło dźwięku. Nagle włączyło się radio. Nacisnąłem wyłącznik - ale głos z radia docierał coraz wyraźniej...
Otworzyłem oczy. Na dworze było jeszcze ciemno...

Robert Pawłowski

Kolekcja z duszą

W samym centrum naszego miasta, w niepozornej kamienicy odkryłam niedawno prawdziwe muzeum. Znalazłam je u kolekcjonera Roberta Goździka. Słyszałam, że ma on bogaty zbiór przedwojennych widokówek Złotoryi (Goldbergu), ale nie spodziewałam się znaleźć w jego mieszkaniu setek różnobarwnych, różnokształtnych, mikroskopijnych i wielkogabarytowych agatów. Obszerny przedpokój i jeden z pokoi zajmują witryny z tymi pięknymi półszlachetnymi kamieniami, z których słyną okolice Złotoryi. Kolekcjonowanie pocztówek i kamieni to nie jedyna pasja Roberta. O kamieniach i nie tylko rozmawiamy, siedząc na dziewiętnastowiecznej sofie w otoczeniu równie starych zegarów, komód, porcelany…

Iwona Pawłowska: Kiedy odkrył Pan w sobie żyłkę kolekcjonera?
Robert Goździk: To było jeszcze w podstawówce, może nawet wcześniej. Wtedy zacząłem zbierać kamienie, a konkretnie agaty. Szukałem ich w okolicach Złotoryi. Najwięcej znalazłem koło Nowego Kościoła. Zbierałem też wkłady do długopisów, o czym przypomniała mi niedawno koleżanka.

I. P: Co było pierwsze: kamienie czy pocztówki?
R. G: Agaty. A pocztówki zaczęły się przypadkowo. Chciałem kupić sobie jedną starą widokówkę, by oprawić i powiesić na ścianie jako ozdobę wnętrza. Pojechałem do Lwówka na Agatowe Lato, gdzie była między innymi giełda staroci. Pamiętam, że jechałem tam ze złamana nogą. I faktycznie kupiłem we Lwówku moją pierwszą pocztówkę do kolekcji. Jednak do tej pory jej nie powiesiłem na ścianie.

I. P: Pamięta Pan, która to była?
R. G: Tak, to był widok przedwojennej ulicy Basztowej. Potem wszyscy chcieli ją ode mnie kupić. Okazało się, że to naprawdę rarytas, bo ujęć Basztowej jest niewiele i nikt wtedy jeszcze takiej widokówki w Złotoryi nie miał.

I. P: Dużo kosztował ten widoczek?
R. G: Dałem za nią około 40 złotych, przy czym trzeba pamiętać, że było to jakieś siedem lat temu. A co ciekawe, pojechałem do Lwówka z racji agatów, bo wtedy byłem już zapalonym zbieraczem tych kamieni.

I. P: Co jest takiego ciekawego w kamieniach, że poświęcił Pan im tyle lat życia i tak wiele miejsca w swoim domu?
R. G: Agaty mają to w sobie, że każdy jest niepowtarzalny. Utnie się go centymetr dalej i już jest całkiem inny. Dużo zależy, z którego miejsca pochodzą. W mojej kolekcji są kamienie z Płóczek koło Lwówka, Nowego Kościoła, Sokołowca czy z Różanej. Większość tych agatów znalazłem sam. Sporadycznie licytuję na aukcjach. Kiedyś szukałem właśnie kamienia z Płóczek, bo samodzielne wyprawy w to miejsce już się skończyły. Teren, popegeerowski ugór, na którym można było coś znaleźć, kupił jakiś człowiek i oczywiście zabrania tam poszukiwań.

I. P: Są skuteczne metody poszukiwania agatów?
R. G: Nie ma takiej metody. Najlepiej szukać wychodni kamieni, czyli miejsca, gdzie leżą najpłycej. Z agatami jest tak, że występują nawet na głębokości 40 metrów, ale szukanie ich tak głęboko jest trudne i niekoniecznie zgodne z przepisami. Dlatego trzeba szukać najbliżej powierzchni.

I. P: Jakie jest największe Pana znalezisko?
R. G: To, które stoi w kuchni. Ten kamień przed przecięciem ważył z 50 kilo. Agaty, tak jak i inne kamienie, ocenia się dopiero po przecięciu. Wtedy ujawniają swoją wartość. Takie duże, jak ten, trzeba najpierw zawieźć do kamieniarza. On tnie i wtedy wiadomo, czy znalazłem coś ładnego i włączę kamień do kolekcji. Czasami jest tak, że po przecięciu agat się

rozsypuje, bo jest mocno popękany.

I. P: To jak jajko – niespodzianka Po czym rozpoznaje się wartość agatów?
R. G: Przede wszystkim po braku spękań, poza tym- po kolorze żył. Ten, kto w tym siedzi, potrafi rozpoznać po barwie miejsce, z którego pochodzi kamień i to nie tylko miejscowość, ale i rodzaj złoża. Agaty znalezione w odległości 20 metrów od siebie mogą już mieć inną kolorystykę żył. Jestem w stanie rozpoznać, z którego miejsca pochodzi konkretny, znaleziony przeze mnie kamień.

I. P: Ile wartościowych agatów można znaleźć w ciągu dnia poszukiwań?
R. G: W ciągu jednego dnia można nic nie znaleźć. Najlepiej pojechać na tydzień i wtedy zająć się tylko poszukiwaniami. Mnie niestety praca nie pozwala na takie wyprawy, ale wiem, że koledzy tak robią.

I. P: Jak cenna jest Pana kolekcja?
R. G: Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Agaty mają różną cenę. Dużo zależy od wagi i kolorów żył.

I. P: Można wyżyć z szukania agatów i ich sprzedaży?
R. G: Ze sprzedaży chyba nie, ale ze szlifowania już tak. Kolega w Nowym Kościele tym się zajmuje.

I. P: Zbieracze kamieni rywalizują ze sobą?
R. G: Nie znam takich przypadków. Zwykle kompletujemy grupę i jedziemy razem na wyprawę. Samodzielne wypady są bez sensu.

Jedna osoba nie byłaby w stanie wykonać całej pracy i jeszcze przetransportować znaleziska do domu czy kamieniarza. Można byłoby się zajechać. Ja mam taką stałą ekipę i z nią się wyprawiam.

I. P: Kolekcjoner kojarzy mi się z systematycznością, skrupulatnością. Jest Pan takim człowiekiem?
R. G: Chyba tak. Jestem poukładany. Jestem też wzrokowcem i wiem, gdzie co jest w mojej kolekcji. Sam się zajmuję odkurzaniem kamieni i jak ktoś przestawi jeden z nich na inne miejsce, od razu wiem, że coś jest nie tak.

I. P: Wróćmy do widokówek. Po tej pierwszej pojawiły się kolejne.
R. G: Tak, połknąłem bakcyla. Zacząłem jeździć na giełdy, targi staroci, a nawet szukać w Internecie na aukcjach.

I. P: Po czym rozpoznaje się wartość widokówki?
R. G: To tak jak z winem: im starsze, tym lepsze. Poza tym trzeba patrzeć na obiekty na nich przedstawione. Najcenniejsze dla mnie są takie, które przedstawiają miejsca, budynki, jakich już nie ma w mieście. Są bardziej i mniej popularne ujęcia Złotoryi. Najczęściej występują panoramy, a pojedyncze budynki czy „ulicówki" to rzadkość. I takie właśnie mnie najbardziej interesują. Ciekawe też są wnętrza budynków, np. restauracji czy muzeum.

I. P: Ważne jest też to, co znajduje się na drugiej stronie pocztówki?
R. G: Staram się, żeby była zapisana. Do wartości materialnej dochodzi przecież i historyczna lub sentymentalna. Kolega z Legnicy ma taki rarytas - widokówkę, którą pisał skazaniec w więzieniu. Żegna się on z rodziną, bo wie, że już idzie na śmierć. Niesamowite wrażenie, kiedy się to czyta.
Ważny dla mnie jest też stempel pocztowy. Tam jest przecież data i miejsce wysłania kartki.

I. P: Gdzie można najszybciej i najpewniej kupić złotoryjskie pocztówki?
R. G: W Berlinie. Tam jest cztery razy w roku organizowana giełda samych pocztówek. Poza tym wiele widokówek wysyłano przed wojną właśnie do Berlina. Co ciekawe, okazuje się, po prześledzeniu stempli pocztowych, że widokówka rano była wysyłana ze Złotoryi a po południu już przyjmował ją urząd pocztowy w Berlinie. Takie wtedy było połączenie kolejowe.

I. P: Kupuje Pan na aukcjach internetowych?
R. G: Raczej mało. Tam są tam wariackie ceny: 200, 300 złotych. Bywa tak, że kolekcjonerzy sami sobie szkodzą, podbijając ceny pocztówek. Wystarczy, że zacznie się nadmierne zainteresowanie kupnem, a sprzedający windują ceny. Po co się tu przebijać. Sami sobie szkodzimy. Ja uważam, że lepiej, aby inny kolekcjoner ze Złotoryi kupił widokówkę po normalnej cenie niż żeby nikt jej nie miał, bo za droga.

I. P: Od kogo zwykle kupuje się pocztówki?
R. G: Od handlarzy. Rzadziej od kolekcjonerów. Chociaż są i też tacy zbieracze, którzy interesują się konkretnym miastem, a jak wpadnie im w ręce inne, to wtedy puszczają dalej. Czasem są sprzedaże wiązane, np. można tanio kupić dwie pocztówki, ale do tego trzeba też wziąć trzecią, która jest już mniej interesująca. Wtedy tę ostatnią później sprzedaje się bardziej zainteresowanym. Niedawno rozeszła się też kolekcja pewnego zbieracza z Berlina. Człowiek zmarł i zostawił kilkaset samych złotoryjskich widokówek. Rodzina nie chciała się tym zajmować i wszystkie poszły do sprzedaży.

I. P: Swojej pierwszej widokówki do tej pory nie powiesił Pan na ścianie. Może teraz, kiedy jest ich już 300, wyeksponuje je Pan w swoim przestronnym mieszkaniu. W albumach nie wyglądają tak okazale.
R. G: Jak wisiałyby na ścianie, nie widać by było drugiej, czasami tak samo ciekawej strony. Znaczki na tych starych widokówkach też mają swoją wartość. A tak- można wyjąć kartkę z

albumu i pooglądać w całości. Poza tym światło mogłoby zaszkodzić pocztówce.

I. P: Co Pan myśli, oglądając te stare złotoryjskie widoczki?
R. G: Myślę, że kiedyś było tu ładniej. Żal miejsc i budynków, które odeszły w zapomnienie. Dużo też sami zniszczyliśmy. Choć nie było takiej techniki, jak dzisiaj, to miasto było bardziej zadbane.
Ciekawe jest też to, że Niemcy wszystko fotografowali i umieszczali na widokówkach. Obliczyłem że ze samej tylko Złotoryi było kilkaset wzorów pocztówek. Inna rzecz, że Niemcy widokówkami reklamowali swoje restauracje, hotele, a nawet sklepy (np. pasmanterię). Nam teraz nie przyszłoby do głowy, że dana ulica mogłaby być tematem kartki pocztowej. Zanika tradycja projektowania widokówek. Może dlatego, że teraz wszyscy komunikują się za pomocą Internetu czy telefonów komórkowych.

I. P: Myśli Pan czasem o swojej kolekcji w kategoriach ekonomicznych?
R. G: Jest to na pewno jakaś lokata kapitału. Pocztówki nie tracą na wartości. Ale jest taka widokówka, która dla mnie jest bezcenna i nie oddałbym jej za żadne pieniądze. To zdjęcie loży masońskiej. Loża jest wyjątkowa i niepowtarzalna. Nigdy już nie trafiłem na taką.

I. P: Jakich rad udzieliłby Pan osobie, która chciałaby zacząć zbierać pocztówki?
R. G: Jak znajdzie jakąś lepszą, to niech dla mnie zostawi A tak serio, to niech zacznie jeździć po giełdach: Wrocław, Bolesławiec, Świdnica, potem Berlin. Tak na początek lepiej kupować widokówki z obiegiem, czyli stemplem pocztowym. W zasadzie to jest oczywiste, ale przypomnę, że decydując się na zakup internetowy, trzeba czytać opinie o sprzedającym. I jeszcze ważna informacja – kartki złotoryjskie w Internecie można najszybciej znaleźć na niemieckim e-Bay'u.

I. P: Proszę jeszcze zdradzić na koniec, skąd Pan ma te wspaniałe meble?
R. G: Ta sofa jest z lat 80. XIX wieku. Kupiłem ją za grosze, ale nie wyglądała tak jak teraz. To była tylko sama konstrukcja. Fotel dostałem, ale nie miał z tyłu nóg. Oddałem je do renowacji i zrobiono z nich to, co widać. Porcelana w komodzie to jeszcze zastawa mojej babci. Wolę stare meble, bo mogę je przesuwać z miejsca na miejsce i wiem, że się nie rozlecą. Poza tym starocie mają duszę.

I. P: Dziękuję za rozmowę i życzę jeszcze wielu wyjątkowych zdobyczy do kolekcji.

rozmawiała Iwona Pawłowska
zdjęcia Robert Pawłowski

ECHO ZŁOTORYI Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).
Zdjęcie na okładce: .

Tu historia działa sie naprawdę cz. I

Są miejscowości lub obiekty, o których rozpisują się wszyscy. Są bowiem wielkie i piękne; o nich pisać wypada, to nobilituje. Ale są również miejscowości i obiekty, na temat których niewiele się mówi. Z władzami Gminy Złotoryja uznaliśmy, że zasadne i celowe są obchody tysiąclecia małej Rzymówki, wsi prawie zapomnianej, zatopionej (niemal dosłownie) w ludzkiej i społecznej niepamięci, osady z prasłowiańskim rodowodem.

Jest wysoce prawdopodobne, że prasłowiańskie grodzisko w Przymówce, przynajmniej przez jakiś czas służyło także jako ochrona pierwszym osadnikom niemieckim. Teraz domostwa pobudowane przez ich potomków służą ludności polskiej. To nie ma być efektowny zwrot. To olbrzymi skrót historii uzasadniający myśl wielkiego Francuza, gen. de Gaulle'a, że historia nic nikomu nie daruje raz na zawsze. Niech więc wszyscy, którzy z Rzymówką i grodziskiem związani są faktycznie lub uczuciowo, z wysokości jego wałów zerkają także w przeszłość, lecz obydwoma otwartymi oczyma, i odważnie, niech patrzą przede wszystkim w przyszłość. Jestem zauroczony Rzymówką – jej dziejami, urokliwym zaciszem, ludźmi … Stąd ten szkic, tu historia działa się naprawdę.

W POMROCE DZIEJÓW

Na Śląsku ludzie żyli od niepamiętnych czasów; niektórzy badacze skłonni są uznać, że mogą to być setki tysięcy lat temu. Niewiele wiemy o tych pierwszych przybyszach. Pewnie żyli gromadnie. Mijały kolejne tysiąclecia, wieki. Pierwsze ślady pobytu człowieka na Śląsku archeolodzy odkryli w Piotrowicach koło Chojnowa (tłuk pięściowy sprzed 180 000 lat). Archeolodzy i historycy nie potrafią dokładnie nazwać, jakie to były ludy – pewnie i one same nie używały wobec siebie nazw. W okresie epoki żelaza (650 r. p.n.e. – 1250 r. p.n.e.) na obszarze Śląska pojawiali się kolejno Scytowie, Celtowie, Hunowie, Germanowie, Słowianie.

W ziemi śląskiej spoczywają niezliczone ludy, a my czasem nie możemy sobie nawet wyobrazić, jakim mówiły językiem. W znanej legendzie o Lechu, Rusie i Czechu łatwiej odpowiedzieć, kiedy ci trzej bracia się rozstawali (Słowianie ruszyli na podbój Europy na przełomie V i VI w. n.e.), niż gdzie. Prasiedziby Słowian znajdowały się nad środkowym Dnieprem, w „okolicach" Kijowa, a więc owo historyczne rozstanie nastąpiło chyba „tam".

Pierwsze źródła pisane o Słowianach pochodzą od historyków bizantyjskich; zawdzięczamy je także licznym, m.in. arabskim, podróżnikom. Z opisu jednego z nich, Ibrahima ibn Jakuba wiemy, w jaki sposób budowali grody: „Udają się umyślnie na łąki obfitujące w wodę i zarośla, po czym kreślą tam linię kolistą lub czworoboczną, w miarę tego, jaki chcą mieć kształt grodu i obszar jego powierzchni, kopią dookoła i piętrzą wykopaną ziemię, umocniwszy ją deskami i drzewem na podobieństwo szańców, aż wały osiągną wymiar, jakiego pragną."

Co podpowiada nam nasza wyobraźnia? Czy nie tak mogło wyglądać zakładanie grodu w Rzymówce w VIII-IX wieku? Wybudowanie grodu to owoc bardzo ciężkiej pracy fizycznej, lecz nie tylko fizycznej. Bez znakomitej organizacji i prężnej dyscypliny wzniesienie grodu nie byłoby możliwe. Ale to się opłacało – wzniesionego ziemnego wału żadnemu wrogowi nie uda się spalić ani zburzyć … Tamte grody to dzisiejsze grodziska.

Oddajmy głos fachowcom, M. i T. Kaletynom, którzy grodzisko opisali, sporządzili jego plan i profil oraz plan sytuacyjny: „Grodzisko wklęsłe założone na planie nieregularnego owalu, wydłużonego na osi północny zachód – południowy wschód. Jego długość – 110 m, szerokość – ok. 20 m. Powierzchnia majdanu obniża się w stronę południowo – wschodnią. Wał najlepiej zachowany w części północno – zachodniej. Jego wysokość od wewnątrz dochodzi do 3 m, od zewnątrz – do ok. 10 m. Obiekt częściowo zniszczony". Grodzisko od dawna wzbudzało zainteresowanie archeologów – już w XIX w. naukowcy niemieccy przeprowadzili tu badania powierzchniowe. Badania te (różne) kontynuowano jeszcze w czasach niemieckich, a następnie już po II wojnie (Zdzisław Bagniewski, Marta i Tadeusz Kaletynowie, Jerzy Lodowski, Karol Bykowski). Wszyscy, nie wyłączając archeologów niemieckich, potwierdzali „starożytność" grodziska w Rzymówce sięgającą czasów słowiańskich. Nikt nie datował jego „urodzin" powyżej X wieku, a niektórzy, z badaczami niemieckimi włącznie, wskazywali na VIII wiek, np. J. Lodowski. Materiał archiwalny zgromadzono w Instytucie Archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego oraz w Muzeum, w

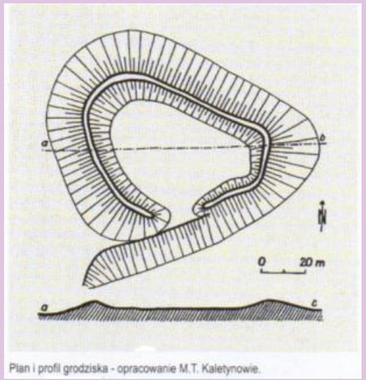

Plan i profil grodziska - opracowanie M.T. Kaletynowie.

Głogowie, a fotogramy umieszczono w Izbie Regionalnej w Rzymówce.

Jak funkcjonował taki gród? Jest wysoce prawdopodobne, że na szczycie wału trzymał straż wsparty na łuku wojownik. Miał on za zadanie w porę wypatrzeć, a następnie ostrzec osadę przed pożarem oraz nadciągającym wrogiem lub powodzią. Sygnałem stosowanym było rozpalanie ognisk. Kiedy niebezpieczeństwo nadchodziło, mieszkańcy osady chowali się za wałem, zabierając rzeczy i produkty niezbędne do przetrwania. Kocioł wewnątrz grodu ma wymiary 70×50, a więc mogło się tu schronić np. 100 osób. Gdy wróg rzeczywiście nadchodził, wejście blokowano czym się dało: belkami, ciernistymi krzakami. Na szczycie wału leżały przygotowane wcześniej duże kamienie polne, które staczano lub zrzucano w celu rażenia wroga, gdy ten usiłował forsować wał. Skryci za wałem wojownicy używali też pewnie łuków i drągów, lali gorącą wodę, pewnie i smołę. Broniący się byli w miarę bezpieczni, gdyż wału nie dało się ani podpalić, ani rozbić.

Do II wojny miejscowa i okoliczna ludność nazywała grodzisko „szwedzkim szańcem" („Schwedenschanze"). Nazwa wiązała się z tym, że w okresie wojny trzydziestoletniej (1618 – 1648) wojska szwedzkie, a pewnie i inne również, wykorzystywały go jeszcze w celach militarnych.

DĘBY MILENIJNE

Jeśli odpowiadają prawdzie wypowiedzi niektórych mieszkańców wsi, że po II wojnie Państwowe Gospodarstwo Rolne hodowało tu świnie, byłby to przykład prymitywnej i brutalnej profanacji tego miejsca. Prace archeologów trwały tu bowiem prawie nieprzerwanie i kierownictwu zakładu nie mogło nie być wiadomym, że badacze odkrywają tu także groby i szczątki ludzkie.

Cicho tu teraz, nie słychać okrzyków bojowych i odgłosów walki (i kwiczenia świń!). Ale jeśli wieczorową porą zwykły śmiertelnik wsłucha się i wpatrzy w krajobraz, to zobaczy i wojownika na wale, i św. Jadwigę przy źródełku, i szukającą skarbu Marysię … Usłyszy też szepty z zamierzchłych czasów … w iluż to językach?! Do tych „rozmów" włączają się już także coraz częściej posadzone 19 kwietnia 2005 roku dęby milenijne. Dziesięć pierwszych oznacza dziesięć wieków i noszą one imiona twórców państwa polskiego od czasów najwcześniejszych do Bolesława Krzywoustego, a więc pierwszego okresu świetności państwa piastowskiego. W kolejności są nimi: PIAST Kołodziej, ZIEMOWIT, LESZEK, ZIEMOMYSŁ, MIESZKO I, DOBRAWA, BOLESŁAW I Chrobry, WOJCIECH - biskup, święty, pierwszy patron Polski, BOLESŁAW II Śmiały, BOLESŁAW III Krzywousty.

W dniu 2 kwietnia 2005 r. zmarł papież Jan Paweł II. Doszliśmy do przekonania, że należy upamiętnić ten fakt, chociaż bardzo smutny. Przy ścieżce św. Jadwigi rósł już buk „Jan Paweł II" i ażeby nie powielać tych imion, nasz dąb nr 11 to: KAROL Wojtyła.

Drzewka oraz 100 krzewów na skarpie grodziska sadziliśmy (wójt M. Leśna, przedstawiciele wsi z sołtysem Wł. Lizoniem i M. Mrozem, członkowie TMZZ z prezesem A. Borysem) w dn. 19 IV 2005 r. między godz. 16^{00} a 18^{00}. Wiedzieliśmy, że akurat w tym czasie na kolejnym posiedzeniu zbiera się konklawe, ażeby wybrać następcę papieża – Polaka; nie mogliśmy natomiast wiedzieć, kto nim zostanie. W trakcie sadzenia Marian Mróz nagle oświadczył, że on przygotował dwunastą sadzonkę, bo „jeśli drzewko ma nasz papież, to niech ma i jego następca". Posadziliśmy więc dwunastą sadzonkę. I jak tu nie wierzyć w przeznaczenie: stało się to najprawdopodobniej w momencie, kiedy kardynałowie dokonywali wyboru, gdyż do domów wróciliśmy akurat, kiedy na Placu św. Piotra w Rzymie trwały przygotowania do ogłoszenia wyników konklawe – był oczekiwany „biały dym", biły dzwony. W ten sposób u podnóża grodziska rośnie 12 dębów milenijnych; ten dwunasty dąb to - BENEDYKT XVI.

Drzewka zostały oficjalnie ochrzczone w dn. 11. września 2005 r. w trakcie uroczystości milenijnych, połączonych z powiatowymi dożynkami (propozycję imion dla pierwszych jedenastu złożył A. Michler, dla dwunastego – M. Mróz). „Chrzestnymi" byli przedstawiciele władz gminy, wsi Rzymówka oraz TMZZ.

SKARB

Mała wioska - Rzymówka - należy do najstarszych nie tylko na Ziemi Złotoryjskiej, lecz także na Śląsku. Kiedyś, u zarania polskiej państwowości, gdy Śląsk należał jeszcze do Państwa Wielkomorawskiego, a później do Czech, musiało tu być „gwarno". Rzymówka była ważna; tu był gród dający ludności schronienie i nieraz zapewniający tubylcom przetrwanie. Kim byli ci ludzie, jak wyglądali, kiedy wybudowali ten gród – to tylko niektóre z pytań, na które chciałoby się znaleźć odpowiedź. Nie jest to problem najważniejszy, ponieważ ani znalezienie odpowiedzi, ani obecne grodzisko nie uchroni współczesnych mieszkańców od kłopotów i zmartwień dnia codziennego. A może jednak …

Przecież w grodzisku nadal powinien znajdować się ukryty skarb. Trzeba go tylko odkryć. Próbowała już tego niegdyś biedna dziewczyna z sąsiedniej wioski. Historia milczy, z jakiej to wioski. Wydaje się, że była to kozowianka lub łaźniczknaka, ponieważ Rokitnica i Wysocko miały swoje grodziska, w których też pewnie ukryto jakieś skarby …

Dziewczyną kierowały szlachetne pobudki – potrzebowała pieniędzy dla swojego dziecka, a więc jak każda dobra i kochająca matka, i ona podjęła ryzyko. Zabrała ze sobą kopaczkę i szpadel, i w wieczór wigilijny postanowiła przystąpić do dzieła. Równo o północy, z wybiciem godziny dwunastej, nagle pojawił się przed nią niebieski płomień. Uznała to za dobry znak i zaczęła kopać w tym właśnie miejscu. Wokół dały się słyszeć jakieś szepty, jednak ona, zajęta robotą, nie zwracała na to uwagi. Zapamiętałe i zawzięcie kopała nadal i już, już … natrafiła na kant jakiegoś naczynia, kiedy ktoś niespodziewanie odezwał się do niej po imieniu. I nasza Marysia (tak ją nazwiemy, zbieżność z imieniem Pani Wójt nieprzypadkowa) odpowiedziała. W mgnieniu oka zniknął płomień i naczynie. Marysia przejęta strachem, w ogromnym przerażeniu opuściła grodzisko i wkrótce potem

Ozdoby odnalezione na grodzisku - for. A. Młyńczak

zmarła. Zatem skarb w grodzisku pozostał. Pozostał również wykopany dołek. I chociaż miejscowi spierają się teraz ze sobą, czy jest to rzeczywiście pamiątka po tej pamiętnej nocy, czy też „nieporządek po archeologach", nazwaliśmy ten fragment grodziska „dołkiem Marysi".

LUDZIE – od Trzebowian do mieszkańców Rzymówki

Powtórzmy pytanie: kim byli, jak wyglądali, jakim mówili „językiem" ludzie, którzy jako pierwsi stanęli na brzegu Kaczawy, czy też najpierw oceniali teren z wysokości Wzgórza Łaźnickiego? Kto pierwszy „zagospodarował" ten uroczy zakątek Ziemi Złotoryjskiej? Czy pierwsi byli Silingowie (plemię germańskie), którzy w V w. mieli osiedlić się na Śląsku i od nich ma pochodzić nazwa Śląsk (łac. Silesia, niem. Schlesien)? Czy też byli to Prasłowianie i to oni ochrzcili ziemię śląską (śląg = mokradła)? W tej ziemi spoczywają prochy mnóstwa „różnych" ludzi i ustalenie ich „narodowości" nie ma sensu (jakiej „narodowości" był np. człowiek neandertalski?, australopitek?).

Im bliżej naszych czasów, tym klarowniejsza staje się sytuacja, pojawiają się bowiem źródła pisane. Np. tzw. „Geograf bawarski" wymienia w IX wieku kilka plemion śląskich. Dlatego już tylko niewielu (powodowanych głównie motywacjami politycznymi) usiłuje kwestionować pobyt w VIII – X w. w dolinie Kaczawy między Złotoryją a Legnicą, słowiańskich Trzebowian. Obiektywni to potwierdzają. To słowiańscy Trzebowianie pierwsi „trzebili" tu lasy i zapewne oni w dużym stopniu uczestniczyli w ukształtowaniu obecnego grodziska. Państwa polskiego jeszcze wtedy nie było, a więc Trzebowianie wchodzili najpierw w obręb państwa czeskiego (do ok. 990 r., kiedy to Mieszko I odebrał Czechom Śląsk). Nie jest zatem wykluczone, że archeologowie na grodzisku Rzymówka znajdą (lub już znaleźli i dopiero to analizują) jakieś ślady czeskie.

Ilu mieszkańców liczyła pierwsza osada? Nie da się na to pytanie odpowiedzieć precyzyjnie. Szacunkowo można przyjąć, że nie mogło ich być więcej, niż mogło pomieścić grodzisko (a więc ok. 100?). „Nadwyżka", która nie zmieściła się w grodzie, zostałaby w trakcie najbliższej potyczki międzyplemiennej uprowadzona lub zamordowana. Nie wiemy także, kto w okresie kolonizacji był zasadźcą wioski (XIII w.) i późniejszym jej sołtysem.

Niektóre wioski powiatu złotoryjskiego kilka, a nawet kilkanaście razy zmieniały swoją nazwę. W przypadku Rzymówki sprawa jest dość prosta: Riemberg i Rzymówka. Rzymówka nigdy nie była ludną, wielką wsią. Z zachowanych dokumentów udało się zestawić następujące dane:

rok 1845	–	365
l. 1945-78	–	281
rok 1928	–	253
rok 1989	–	246
rok 1934	–	251
rok 1994	–	204
rok 1939	–	ok. 300
rok 2008	–	181

Miejscową władzę od zarania stanowili wodzowie plemienni, następnie zasadźcy, sołtysi (w czasach niemieckich „Schultheis" i od tego słowa pochodzi polski „sołtys"). Żaden z przedwojennych mieszkańców Rzymówki nie przekazał nam nazwiska choćby jednego sołtysa; z dokumentów wyłania się jeden – August Elsner (1904). Natomiast galeria powojennych sołtysów jest znana i chronologicznie przedstawia się następująco:
STAWIARZ Michał, LITWA Wiktor, WĘGIEL Michał, CHROBAK Władysław (ponad 20 lat), MRÓZ Krystyna, MRÓZ Marian, SIUDAK Władysław, SEREDIUK Stefan, LIZOŃ Wiesława, LIZOŃ Władysław (obecny sołtys).

MAŁA ALE ŁADNA

Przedwojenny nauczyciel jednoklasowej szkoły w Rzymówce, Volle, tak pisał o swojej wiosce (1928): *„Wielu miłośnikom przyrody i regionu znana jest idyllicznie położona wioska, Rzymówka. Rozproszone domy przytulają się do porośniętych lasem pagórków, a ponieważ wszystkie otoczone są wielkimi sadami owocowymi, w maju cała wioska wygląda jak kwitnące morze. A kogo nie odstrasza droga na Łaźnickie Wzgórze, ten zachowa w duszy niezapomniane wrażenie: u jego stóp szemrząca i pluskająca, srebrna wstęga Kaczawy, przed nim wielotysięczny kwiatostan we wszystkich odmianach barw, a ponad tym całym cudownym obrazem – wspaniały i błogi spokój"*. Słowa nauczyciela potwierdza jego uczennica z lat 1926-34: *„Wioska była mała ale ładna"*. Proste, dumne słowa. Wyczuwa się, że autorka tych słów jest przywiązana do tej ziemi. Tak samo, jak Wiesława Lizoń *„… jesteśmy dumni i szczycimy się tym, że mieszkamy w jednej z najstarszych miejscowości naszego kraju. Chodzimy po tej samej ziemi, po której przed wiekami stąpała św. Jadwiga Śląska.. Mamy to, czego nie mają inni – bogatą historię"*. A więc dwa różne pokolenia, dwóch różnych nacji, podobnie

Rzymówka z lotu ptaka - 1998 r. - for. F. Grzywacz

mówią o tej samej „swojej" wiosce: o Riembergu i Rzymówce … Niezależnie od osobistych dramatów i tragedii, II wojna spowodowała największą w dziejach ludzkości „wędrówkę ludów". Obecnie są w Rzymówce rodziny, które utrzymują dobry kontakt z właścicielami lub mieszkańcami byłego Riembergu. Na przekór tragicznym i bolesnym doświadczeniom.

Mając na względzie globalnie tragiczne skutki, jakie wojna przyniosła Polsce i „Ziemiom Odzyskanym" można stwierdzić, że Rzymówka jawi się na tym tle niemal jak enklawa błogostanu: „tylko" trzy budynki mieszkalne zostały zniszczone; reszta nadawała się do natychmiastowego zamieszkania. To obraz, jaki zapamiętał Stanisław Zaremba, kiedy zjawił się w Rzymówce w styczniu 1946 roku. Razem z nim przybyli jako pierwsi: Michał Stawiarz, Stanisław Nowakowski, Michał Lizoń, Władysław Chrobak, Katarzyna Klag, Jerzy Serediuk, Anna Milnikiewicz, Tomasz Koza, Wiktor Litwa, Walenty Litwa, Maria Skupień, Alojzy Godyń. Byli tu już nawet wcześniej (w roku 1945), lecz ludność niemiecka była jeszcze wówczas na miejscu. Aktywni byli szabrownicy i jeśli tylko jakieś mieszkanie dłużej było wolne, natychmiast było okradane lub dewastowane. Aby temu zaradzić, w nocy organizowano warty, które miały zapobiec pożarom lub „działalności" kręcących się we wsi niepożądanych gości. W razie niebezpieczeństwa bito w gong; były dwa gongi: jeden na wsi, a drugi w PGR, gdzie rozpoczął działalność Urząd Bezpieczeństwa. Ludność niemiecka w całości opuściła Rzymówkę. Ewakuacja musiała nastąpić bardzo szybko, o czym świadczył wygląd i stan mieszkań; sądzić można było, iż zostały one opuszczone „z marszu", w trakcie normalnych i typowych czynności domowych. St. Zaremba dodaje, że wg jego oceny ostrzał od strony Łaźnickiego Wzgórza spowodował, że pociski wycięły ok. 5 ha lasu.

Urody dolina Kaczawy nie utraciła. Mój wnuk, żyjący nad Odrą w Opolu, kiedy przystanęliśmy na żelaznym moście, nie prowokowany do żadnej wypowiedzi, prawie wykrzyknął z zachwytu: „Jak tu pięknie!" A Kaczawa, przyzwyczajona do takich pochwał ani na chwilę nie przystanęła i szumiąc tak samo z pluskiem popłynęła dalej …

Opracowali mieszkańcy Rzymówki:
Katarzyna Hec (Mróz), Marcin Hec, Agnieszka Lizoń, Katarzyna Lizoń, Urszula Rajczakowska (Mróz) oraz Alfred Michler

Nocne o muzyce rozmowy

Godzina – 23:46

Po nieplanowanej przerwie, pragnę przedstawić Szanownym Czytelniczkom, tudzież Czytelnikom, kolejny zespół związany z naszym „złotym" miastem. Chociaż nie, dzisiaj będzie inaczej, bowiem w dzisiejszym odcinku zamiast kolejnej kapeli grającej w Złotoryi, na swój reporterski celownik obrałem osobnika, który swe muzyczne korzenie wypuszczał w zaułkach złotoryjskich ulic.

Paweł Bielecki urodził się w czasach głębokiego komunizmu, toteż wychowany jeszcze na pieluchach tetrowych, od dziecka wiedział, że światu potrzebna jest zmiana. Rewolucja nadeszła w okresie szkoły średniej, kiedy to uznał, iż światem rządzi kakofonia dźwięków. Rock'owy poeta, wprawiony również w grę na gitarze, pierwszą kapelę założył jeszcze w czasach LO. Później była kolejna… która (jak i poprzednia) rozpadła się z przyczyn zewnętrznych, czyli krótko mówiąc: nie wypełzła z podziemi i nie rozeszła się po szerokich niwach. Jakkolwiek zapał pozostał, a owoce pracy, tym razem o wiele dojrzalsze, możemy śledzić nadal.

Nie wiem, czym tak naprawdę jest muzyka w życiu Pawła, ale w tym nocnym wywiadzie, postaram się dowiedzieć.

Aleksander (amb): Chciałbyś może coś do tego dodać?

Paweł Bielecki (PB): Właściwie wszystko się zgadza. W pewnym momencie nadeszła taka chwila w której stwierdziłem, że chwycę za wiosło i zmontuje kapelę - tak też zrobiłem. To było naprawdę zabawne, wiesz - nikt nie potrafił na żadnym instrumencie grać (wszyscy się dopiero uczyli), a już chcieliśmy koncertować. Nie żałuję tego czasu, bo nauczyłem się pokory, co teraz popłaca. To były tak zwane licealne kapele, które zazwyczaj jak szybko powstają, tak szybko umierają. Gdy zacząłem studiować filozofię, jedynie coś w domu nagrywałem, ale to były nagrania do szuflady. Im więcej osób poznawałem, tym bardziej rozszerzały się horyzonty, dzięki czemu trafiłem na osoby, z którymi mogłem coś zrobić i zrobiłem, i tak oto, na nudę narzekać nie mogę.

amb: Kiedy po raz pierwszy zetknąłeś się z muzyką?

PB: Generalnie, nie pamiętam. Od zawsze na czymś grałem czy tam śpiewałem. Według mnie nie można zetknąć się z muzyką, tego się nie wie. Nie można powiedzieć: zetknąłem się z muzyką 23. listopada 1994 i wtedy się zaczęło. Muzyka cały czas nas otacza, więc stykasz się z nią już od dziecka. Niektórych ona pochłania, niektórych nie. Mnie pochłonęła.

amb: W jaki sposób spełniasz się obecnie, jeżeli chodzi o muzykę?

PB: Jakiś czas temu brałem udział w paru projektach, teraz mam zamiar skupić się na jednym - pewien etap się zakończył i ostro pracujemy wraz z kapelą nad nowym materiałem. Jak spełniam się obecnie? To moim zdaniem złe pytanie, jak przyjdzie na mnie czas - wtedy będę wiedział: czy się spełniam, czy nie. Czyli można rzec, że się nie spełniam, ale dążę do spełnienia.

amb: Może jakieś szczegóły…?

PB: Kapela to 'Moyra', doszedłem do chłopaków na początku tego roku i od razu spłodziliśmy kilka ciekawych utworów. Niedawno doszedł do nas nowy perkusista, bo stary był… no nie za bardzo się nadawał. To wzniosło muzykę na inny poziom. Zagraliśmy parę koncertów, ostatnio też jakoś tak się złożyło, że graliśmy. A teraz… teraz, jak już mówiłem - skupiamy się nad nowym materiałem, bo stary przeżył się - że tak powiem - poza tym, teraz tworzymy wszyscy razem, co jest dla tej kapeli nowością.

amb: Która swoją piosenkę uważasz za przełomową i dlaczego akurat ją?

PB: Nie mam żadnej piosenki przełomowej. Prawie każda daje mi jakąś radość - inaczej bym nie robił tego, co robię. Przełomowa piosenka? Zapytaj Feela o to (śmiech).

amb: Wolisz pisać teksty czy tworzyć muzykę? Co Cię do motywuje do pisania?

PB: Nie przepadam za jednym, ani za drugim. Czasem coś tam bazgrzę i powstaje jakiś tekst. Jeśli chodzi o muzykę, to kiedyś siedziałem w tym bardziej - teraz jęczę do mikrofonu - a muzyka tworzona jest zupełnie inaczej, (oczywiście w jakiś sposób też ją tworzę), ale przede wszystkim jest ona robiona wspólnie. Nie mam żadnej specjalnej motywacji do tego, by pisać, czy tworzyć jakieś nuty. Po prostu to lubię, kiedy mi się nie będzie to już podobać, dalej na pewno nie będę tego ciągnął - nic na siłę!

amb: Twoje największe osiągnięcie...

PB: Nie mam takiego… może to, że byłem najszybszym plemnikiem w wyścigu o życie. Ale to tak samo osiągniecie twoje jak i każdego człowieka.

amb: Mógłbyś zdradzić, jakie masz plany na przyszłość związane z muzyką?

PB: Nie mam planów, plany swędzą tak jak brud na plecach. Oczywiście chciałbym, żeby było jak najlepiej, koncerty czy też granie samo w sobie jest zajebiście wciągające. Co jednak będzie, tego nie wie nikt. Przewidywanie czy planowanie? Głowy tym sobie zawracać nie zamierzam, bo i po co?

amb: Gdyby ktoś z Czytelników chciał zapoznać się z Twoją twórczością, gdzie ma szukać i od czego zacząć?

PB: Na pewno od serwisu myspace. Niedługo startuje również strona 'Moyry'. A inny sposób? Jak ktoś chce, to coś znajdzie. Na razie cały czas pracuję nad materiałem, a byle gówna nie chcę wrzucać na asfalt. Poza tym, nie nazwałbym tego twórczością, nie jestem przerośniętym ambicją człowiekiem, czy pozerem, który wziął gitarę do ręki i myśli, że jest gwiazdą rocka i u stop ma cały świat - jeśli tak myślisz, można ulec paranojom.

amb: Wspomniałeś „Moyrę" - opowiedz coś o tym zespole (o nazwie, o jego historii, kto go tworzy, co już zrobiliście)…

PB: Nie Mojra tylko 'Moyra' (śmiech). 'Moyra' - hm… nie pytaj o to, co gramy, bo tego i ja nie wiem. Mówione jest, że gramy grunge jak i hard rock, jednak mamy też kawałki oldschollowe.
Historia zespołu? No cóż, kiedyś kapela ta istniała pod nazwą 'Broken Bridge' i pod tym szyldem zagrałem z nią dwa koncerty, potem nastał etap zmian, zmieniało się wszystko i zmieniało, aż wyszła 'Moyra'. Ced - gitarzysta jest założycielem kapeli. On, razem z Arkiem, który gra na basie, są w niej najdłużej. Jak wspomniałem, kiedy doszedłem do nich na początku tego roku, był jeszcze perkusista Bubu, ale talentu to on nie miał. Na wakacje tego roku przybył Łukasz, który zasiadł na perce i to jest skład ostateczny, jak na tę chwilę.
Co już zrobiliśmy? Mamy dość spory - rzekłbym - stary materiał, jest tego trochę, a patrząc na krótki czas, w jakim to zrobiliśmy - to nawet sporo. Wiesz, ja miałem tu proste zadanie - wystarczyło mi napisać wokale, bo muzyka jako taka była już zrobiona. Teraz tworzymy wszyscy razem, jest trochę z tego powodu spięć oraz jest to dość mozolne, ale efekty są lepsze.
Szerszą perspektywę mam w kapeli 'Johnny im only dancing', którą stworzyłem wraz z Bergiem i Antkiem. Ale to jest już całkowicie inna konwencja. Na plakacie, przed koncertem napisane było, że gramy: absolutnie niesprecyzowaną alternatywę niezrozumiałą, więc właśnie to chyba gramy, bo jest to naprawdę duuuży zlepek różności. To i projekt muzyczny, i liryczny, i też liczy się w nim performance (działania artystyczne, improwizowane przy publiczności, jednak bez jej udziału – przyp. amb). Ogólnie bardzo dobra zabawa.

amb: A tak z innej beczki.. Co sądzisz o Złotoryi z

perspektywy osoby, która spędziła tu niemal całą swą młodość a teraz wpada jedynie okazyjnie?

PB: Złotoryja to dla mnie przede wszystkim góry, pagórki, spokój. To miejsce, w którym mogę odpocząć i tylko tyle, albo aż tyle. Fajnie patrzeć, kiedy nie ma cię tu prawie cały rok, jedynie wpadasz raz na parę miesięcy i widzisz, jak zmienia się miasto, jak powstają nowe osiedla, czy też zauważyć można nowe kolory budynków. Boli jedynie fakt, że jest to miejsce ubogie w kulturę. Może to dlatego, że tej kultury w mieście tym się nie chce? Tego nie wiem, ale pytanie wydaje się mieć jakiś sens.

amb: Dziękuję bardzo za rozmowę, za to, że mimo nocnej pory – zamiast spać – odpowiedziałeś wyczerpująco na te pytania. Dobrej nocy życzę.

rozmawiał Aleksander Bielecki
zdjęcia Magdalena Kostyszyn

Za zupę pojechaliśmy do Francji

Stroje mają trochę niedopasowane do nazwy, za to bardzo efektowne. Czarne tiszerty z pąsową różą na piersi, do tego na szyi czerwone korale, a na czerwonych długich spódnicach fantazyjnie zawiązane chusty z czarnymi frędzlami. Na każdej imprezie zawsze przyciągają wzrok większości publiczności i są z zapałem fotografowane.
- Ze strojami to było tak - wyjaśnia **Marta Kocaj**, obecnie pełniąca rolę kierowniczki zespołu folklorystycznego ***Sami Swoi*** **z Wojcieszyna**. - Na początku były w naszej gminie tylko cztery zespoły i to one dostały dofinansowanie na stroje regionalne z ministerstwa za pośrednictwem ośrodka kultury. Myśmy już nie zdążyły, bo ośrodek kultury rozwiązano, dlatego musiałyśmy wymyślić coś własnego i za własne pieniądze. A na samym początku miałyśmy stroje nawiązujące do miejskiej kultury Lwowa, takie baciarskie: spódnice w kratę, do tego białe (własnoręcznie wykonane) bluzki i zapaski; mężczyźni mieli - trochę ruskie - białe bluzy wyrzucone na wierzch spodni, wpuszczonych w buty z cholewami. Na głowie obowiązkowo kapelusz z miękkim rondem. Jednak damska część zespołu stanowczo lepiej się czuje w zaprojektowanych przez siebie strojach, zwłaszcza że i repertuar teraz mają inny. Tylko czasem, gdy przygotowują piosenki lwowskie na jakieś specjalne występy, prezentują stroje baciarskie.

W 1994 roku **Józef Skibiński** wraz z **Tadeuszem Wojczukiem** założyli kapelę. Był w niej kontrabas, bęben, skrzypce, saksofon, akordeon. Oprócz nich dwóch w kapeli grali jeszcze dwaj inni mężczyźni. Zespół nawiązywał do lwowskiej tradycji i wykonywał tzw. piosenki miejskie. Tadeusz był pierwszym kierownikiem i duszą tego zespołu. Od swojego ojca, który pochodził ze Lwowa, brał teksty i melodie piosenek, dzięki ojcu też miał - jak trzeba było - cudowny, lwowski zaśpiew. Tadeusz występował na imprezach z *bałakaniem* (monologi w gwarze lwowskiej). Kobiety doszły w 1996 roku. To był pomysł Tadeusza Wojczuka, aby nie była sama kapela, lecz zespół, który mógłby wykonywać utwory wokalne. Na początku śpiewali głównie piosenki lwowskie.
- Pewnego razu Tadeusz przyniósł na próbę teksy: „No, dziewczyny, będziemy śpiewać!". A my nawet nie umiałyśmy tych tekstów przeczytać, bo były napisane gwarą, która była dla nas obca - wspomina pani Wanda Jaworska. - Trzeba było się nauczyć *zaciągać*, ale jakoś nam poszło. To nie było takie trudne.

Na początku próby mieli w szkole, jednak wkrótce budynek przeznaczono do remontu i wtedy spotykali się po domach, a nawet w garażu.
- Byliśmy sensacją w Wojcieszynie. Podsłuchiwała nas cała wieś! - śmieje się pan Józef.
Obecnie próby odbywają się gościnnie w nowym, eleganckim, pachnącym jeszcze farbą, budynku Warsztatów Terapii Zajęciowej. Ale już niedługo dla zespołu zostanie wyremontowane i oddane piętro budynku. Wtedy będą naprawdę u siebie.

Tuż po ukonstytuowaniu się grupa folklorystyczna z ogromnym zapałem przystąpiła do przygotowywania repertuaru na zbliżający się konkurs kolęd w Legnicy.
- Chyba do końca nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, w co się pakujemy - wspomina pani Marta. - A przecież przed nami była ciężka praca. Musiałyśmy się zgrać, dopasować, nauczyć śpiewać no i przygotować do konkursu…
- …bo zaczęliśmy się spotykać w październiku, a w grudniu już czekał na nas przegląd zespołów kolędniczych w Legnicy - wpada w słowo pani Wanda.

Te pastorałki i dawne kolędy przygotowywane na ich pierwszy konkurs weszły na stałe do repertuaru zespołu. W każdą Wigilię *Sami Swoi* uroz maicają śpiewem kolęd pasterkę w wojcieszyńskim kościele, a na Boże Ciało w strojach organizacyjnych idą na czele procesji.
- Nasi mężowie? Przywykli! - śmieją się kobiety.
- Najtrudniej było wtedy, gdy nasze dzieci miały po kilka lat. Gdy my szłyśmy na próbę, mężowie musieli się nimi zajmować - mówi kierowniczka. - Ale nigdy nam nie zabraniali, nie byli przeciwni naszej działalności. A gdy pojawiły się pierwsze sukcesy, wtedy byli z nas dumni.
- Bardzo często nasze dzieci wraz ze swoimi ojcami, pod których opieką je zostawiałyśmy, przychodziły na nasze próby. Myśmy się spotykały i nasi mężowie się spotykali - dodaje pani Helena Szeliga.
Obecnie do zespołu należą: **Marta Kocaj** - kierowniczka, **Wanda Jaworska, Jolanta Bernasiewicz, Helena Szeliga, Halina Kwolik, Elżbieta Ślipeńczuk, Janina Wojczuk, Józef Skibiński, Joanna Danielak.**

Grupa oprócz śpiewu zajmuje się również kulinariami. Każda z kobiet ma swoją popisową potrawę, którą prezentuje na przeróżnych imprezach. Jak trzeba zrobić sernik, to jest sernik, jak kulebiak - to jest kulebiak z kapustą, grzybami bądź szpinakiem. Robią wszystkie potrawy i to wyśmienicie. Ich gołąbki wileńskie, hrecznia k, baba baciara, pierogi z serem i szpinakiem zawsze znajdują zwolenników i zdobywają nagrody. Jest też popisowa nalewka *czarci ogon*. Jej podstawą jest samogon, wyciąg spirytusowy z ziaren czarnego pieprzu, wiśnie, maliny. Czasem czarna porzeczka. Ale nie chcą zdradzić żadnego przepisu. Tajemnica! Ich chleb pieczony w specjalnym piecu chlebowym jednej z członkiń zespołu kilkakrotnie otrzymał wyróżnienie w konkursie wypieku ciast i chleba w Krotoszycach, a w 1998 roku kobiety otrzymały *Srebrną Tacę* za całokształt działalności.
W tym roku, 23. sierpnia, ich zupa dyniowa została królową na *Festiwalu Zupy* w Jedlinie Zdroju.
- Za tę zupę pojechałyśmy na tygodniowy pobyt do Francji - mówi z dumą pani Marta. - Zwiedziłyśmy z przewodnikiem całe Lazurowe wybrzeże: Saint Tropez, Monaco, Cannes. To było wspaniałe przeżycie.
Do tej pory kobiety nie mogą się otrząsnąć ze zdziwienia, że zdobyły tak prestiżową nagrodę. Jadąc na festiwal tak naprawdę na nic nie liczyły. Poza tym dwumiesięcznik *Nowa Gospodyni*, który oprócz tego, że zamieścił reportaż o tym festiwalu

(nasze bohaterki są na zdjęciach), również przyznał nagrodę w postaci kompletu garnków. W tym roku w marcu, w niedzielę palmową przed Wielkanocą zespół wziął udział w kiermaszu zorganizowanym przez Galerię Dominikańską we Wrocławiu. Zabrali ze sobą mnóstwo ciast, mazurków, palm wielkanocnych i setki pisanek. Właśnie za pisanki wyklejane bibułą zespół otrzymał pierwszą nagrodę. Ciasta ludzie kupowali całymi blachami, już na święta. To był ogromny sukces.

- Mamy kilka osiągnięć - skromnie wylicza pani Marta. - Oprócz kilku wyróżnień podczas biesiad otrzymaliśmy nagrodę prezesa Stowarzyszenia Międzynarodowych Targów Chleba podczas Euroregionalnego Przeglądu Kapel i Zespołów Ludowych w Jaworze 1997, podziękowanie za prezentację programu w spotkaniu grup śpiewaczych *Ziemia i Pieśń* w Szprotawie w 1997, w 2001 r. podczas VI ogólnopolskiej Biesiady Zespołów Kresowych zdobyliśmy nagrodę radnego Sejmiku Dolnośląskiego Ryszarda Maraszka, dyrektor teatru legnickiego przyznał nam nagrodę w 1998 roku za kolędy podczas Wojewódzkiego Przeglądu Zespołów Kolędniczych w Legnicy, mamy II miejsce z przeglądu *Pieśni Kołysankowej i Sierocej* w Kliszowie 1999. Szczególną nagrodą była kwota 1000 zł za konkurs *Piosenki Małomiasteczkowej* w Świerzawie 2006. Za te pieniądze zafundowaliśmy sobie wycieczkę do Pragi, bo akurat zbiegło się to z dziesięcioleciem naszej działalności.
Mimo takich osiągnięć, wielu wspaniałych wyjazdów, zespół nie nabywa nowych członków.
- Chyba się wstydzą - mówi kierowniczka. - Są takie dwie panie „dochodzące" **Danuta Jurczyk** i **Ryszarda Dzikuć**, które - gdy jest taka potrzeba - zastępują nieobecne panie podczas występów, chętnie pomagają w wyrobach kulinarnych, jednak nie chcą się zapisać do zespołu. Może teraz się zmobilizują?
- Nie wspomniałyśmy jeszcze o jednym wyróżnieniu. Przecież dziewczyny otrzymały z Ministerstwa Kultury odznaczenie *Zasłużony dla rozwoju kultury*. Została odznaczona **Marta Kocaj**, **Janina Wojczuk**, **Ślipeńczuk Elżbieta** i pośmiertnie **Tadeusz Wojczuk -** z dumą wylicza pani sołtys **Jolanta Bernasiewicz**. – Pamiętam, jak były wręczane przy okazji corocznego koncertu kolęd w świetlicy parafialnej *Koleby* w Pielgrzymce w styczniu 2004 r.
- A pamiętacie wybór Chłopa Roku? - podejmuje jedna kobiet z uśmiechem. - To była impreza! Kilkanaście tysięcy widzów w Racławicach pod Krakowem obserwowało różnorakie konkurencje mężczyzn z całej Polski. To była świetna dwudniowa zabawa.
- No właśnie, a trzecie miejsce w konkursie na chłopa roku zajął sołtys z Nowego Kościoła Zbigniew Zięba - dodaje inna.
- A my zabezpieczaliśmy oprawę muzyczno-wokalną - uzupełnia kolejna pani.

Twarze kobiet uczestniczących w rozmowie są odprężone i pogodne, atmosfera zrobiła się bardzo swobodna. Pijemy smaczną herbatę, jemy doskonały sernik przygotowany przez jedną z pań. Przychodzą tu, jak twierdzą, nie tylko na próby. Praca w zespole jest im potrzebna, aby oderwać się od szarej rzeczywistości, czasem aby zwyczajnie pogadać, zwierzyć się sobie z trosk, kłopotów. Wiedzą, że mogą w każdej sytuacji liczyć na siebie nawzajem. Już nie są w stanie wyobrazić sobie swojego życia bez zespołu.

wysłuchała Agnieszka Młyńczak

Do czego nam Urząd Pracy?

Hala operacyjna Urzędu Pracy. Fot. Ryszard Masłowski

Witam państwa na naszym kolejnym spotkaniu, najpierw sprawdzę obecność… A teraz proszę wyjąć swoje dokumenty, które mieliście przynieść: przykładowe formularze. Przystępujemy do sporządzania naszego cv, czyli życiorysu zawodowego…

W taki sposób Krystyna Perlak od godziny ósmej rano do dwunastej wprowadza piętnastu bezrobotnych w tajniki wybranych zagadnień z prawa pracy, które są częścią szkolenia finansowanego przez Urząd Pracy *Asystent ds. płacowo – kadrowych + obsługa programu Płatnik*. Kursanci bardzo pilnie pochylają się nad notatkami, usiłując jak najlepiej wykonać zadane ćwiczenie. W pomieszczeniu rozchodzi się zapach świeżej kawy, którą niektórzy przynoszą z automatu stojącego w korytarzu. Prowadząca, w sposób świadczący o znajomości tematu, wyjaśnia poszczególne zagadnienia. Szkolenie obsługuje Ośrodek Kształcenia Zawodowego w Złotoryi, który od roku ma swoją nową siedzibę w byłym gimnazjum przy ul. Kolejowej 4.

- Mamy tu taki mały catering, czyli kawa, herbata, ciasteczka dla kursantów - wyjaśnia sekretarka ośrodka Urszula Wojnarowicz. - Niestety, nie dysponujemy jeszcze pełną bazą szkoleniową, więc zajęcia na komputerach będą przeprowadzane w Szkole Podstawowej Nr 1. A będzie tych zajęć sporo, bo w planie przewidziano aż 140 godzin. Na koniec (bez egzaminu końcowego) uczestnicy otrzymują zaświadczenia o ukończeniu kursu na specjalnych drukach Ministerstwa Edukacji Narodowej.

Szkolenia finansowane przez Urząd Pracy mają być elementem łagodzenia skutków bezrobocia poprzez oferowanie bezrobotnym możliwości podniesienia kwalifikacji. Na tablicy ogłoszeń w siedzibie urzędu informuje się o sześciu rodzajach szkoleń na ten rok. Jednak na kursy głównie kierowane są długotrwale bezrobotni (12 miesięcy w ciągu ostatnich dwóch lat) i chętni do podniesienia kwalifikacji. Według oficjalnych statystyk w powiecie było 1870 takich osób (koniec sierpnia), natomiast szkolenie ukończyło kilkadziesiąt z nich. Co z resztą? Skądinąd wiadomo, że wiele z tak zwanych bezrobotnych pracuje na czarno i, jak twierdzą, nie leży im żadne szkolenie. W wyjątkowych wypadkach Urząd uruchamia zatem instrumenty nacisku w postaci zagrożenia utraty statusu bezrobotnego bądź zasiłku. Wtedy, w wyniku szkolenia, człowiek zdobywa określone kwalifikacje i Urząd może mu w krótkim czasie zaoferować pracę, a co za tym idzie, skreślić z wykazu bezrobotnych.

Według urzędniczek niektóre szkolenia cieszą się dużym zainteresowaniem. W ubiegłym roku odbył się kurs florystyczny, w którym uczestniczyło 10 osób. Niektóre panie po jego ukończeniu znalazły pracę w kwiaciarni. Po ukończeniu kursu kas fiskalnych można bez trudu znaleźć pracę w handlu. Natomiast mocno problematycznym wydaje się fakt organizowania półrocznych kursów językowych. Czy po ich ukończeniu delikwent dogada się z pracodawcą za granicą? Nic dziwnego, że bezrobotni rezygnują z takich kursów, chyba że potrzebny im jest tylko dokument o jego ukończeniu.

Bardzo ciekawą formą podnoszenia kwalifikacji są kursy indywidualne. Polegają one na tym, że gdy bezrobotny znalazł pracodawcę chętnego do zatrudnienia go, a nie ma pożądanych kwalifikacji, może zwrócić się z prośbą do Urzędu Pracy o skierowanie na kurs indywidualny. Tutaj nie ma żadnych ograniczeń. W zasadzie każdy wniosek rozpatrywany jest pozytywnie. Jeżeli na przykład pracodawca żąda od zainteresowanego posiadania kursu kierowcy maszyn ciężkich lub wózków widłowych, czy też prawa jazdy kategorii C lub E, wtedy urząd kieruje bezrobotnego do wybranej jednostki i w całości opłaca kurs łącznie z kosztami dojazdu. W 2008 roku złotoryjski Urząd Pracy sfinansował 90 takich indywidualnych kursów.

Zajęcia z liderem klubu pracy

Siedziba **Powiatowego Urzędu Pracy w Złotoryi** mieści się w nowoczesnym, świetnie wyposażonym budynku. Niektórzy złotoryjanie z pewnością pamiętają, jak prowadzali tam swoje małe dzieci, gdyż poprzednio w tym miejscu mieścił się żłobek. Tuż przy wejściu a także przy każdym pokoju, gdzie załatwia się interesantów, wiszą tablice informacyjne z ofertami pracy, zatrudnieniu za granicą, mnóstwo różnorakich ogłoszeń i informacji. Wszystkie napisane bardzo małą czcionką. Z każdego kąta atakują krzykliwe plakaty o stronach internetowych, pośrednikach, prywatnych wyższych uczelniach… Jest ich tak dużo, że wzrok tylko się po nich prześlizguje. Mało kto zatrzymuje się, aby coś przeczytać.

Nowoczesny, estetycznie urządzony, przestronny hol na parterze budynku nie sprawia wrażenia, że to gigantyczna biurokratyczna machina. Klienci przeważnie kontaktują się tylko z niektórymi urzędnikami, których biurka usytuowano właśnie w tym holu. Przed każdym urzędnikiem stoi na biurku monitor, w związku z czym papierowych dokumentów raczej niewiele. Samych bezrobotnych też niewielu. Przed południem kręci się tu kilka osób. Jedni załatwiają swoje sprawy przy biurkach urzędników, inni wypełniają przy stolikach dokumenty. Niewtajemniczeni mogą odnieść wrażenie, że urzędników tu więcej niż bezrobotnych. Liczba tych ostatnich w powiecie wynosi nieco ponad trzy tysiące osób, zaś obsługuje ich 47 pracowników urzędu pracy. Większość z nich pracuje w niewielkich dwuosobowych pokoikach. Do niektórych pokojów trudno się wcisnąć, tak są niewielkie. Tutaj pryska czar komputeryzacji instytucji. Na każdym biurku oprócz obowiązkowego monitora piętrzy się stos dokumentów, teczek, kartotek i innych papierów, a jakby tego było mało, na regałach i w szafach pod ścianami ogromne ilości opasłych segregatorów. Gdyby nie te monitory, można by było odnieść wrażenie, że to urząd z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Kierowniczka działu organizacyjnego **Grażyna Świerczek** martwi się, że w archiwum zakładowym zaczyna już brakować miejsca, bo przecież dokumenty dotyczące zatrudnienia należy przechowywać przez 50 lat. Nadmiar dokumentów wynika jednak z obowiązku podwójnej dokumentacji: tak w formie elektronicznej jak i papierowej. Funkcję dyrektora urzędu sprawuje **Krzysztof Frankowski,** jego zastępcą jest **Jolanta Adamiec**.

Załogę instytucji stanowią w ogromnej większości kobiety, z których więcej niż połowa legitymuje się wyższym wykształceniem, zaś sześć osób jest w trakcie studiów. Wiele z nich wciąż podnosi swoje kwalifikacje kończąc przeróżne formy szkolenia i kursów, więc dziwi fakt, że w porównaniu z innymi instytucjami samorządowymi w mieście pracownicy Urzędu Pracy otrzymują żenująco niskie wynagrodzenia - poniżej 1500 zł brutto.

Tworzenie systemu urzędów pracy rozpoczęto w 1990 roku, a ich podstawę kadrową tworzyli pracownicy wydziałów zatrudnienia ówczesnych struktur administracji państwowej.

- Przed 1990 rokiem pracowałam w Wydziale Zatrudnienia i Spraw Socjalnych Urzędu Miejskiego w Złotoryi - wspomina Grażyna Świerczek. - Moja praca polegała na zbieraniu ze wszystkich zakładów pracy na terenie Złotoryi zapotrzebowań na zatrudnienie, z których co miesiąc składałam szczegółowe sprawozdania i analizy do wojewódzkiego odpowiednika mojego wydziału. Pełniłam również funkcję sekretarza przy komisji rozjemczej i odwoławczej do spraw pracy. Zatrudnieni tam sędziowie rozstrzygali spory między pracownikami a zakładami pracy.

Każdej osobie podejmującej zatrudnienie wydawałam skierowanie do zakładu pracy. Służyło ono kontroli pracodawców pod względem zatrudnienia. Wtedy, przed 1990 rokiem, w Polsce był obowiązek pracy, więc osoby uchylające się od niej były ścigane przez prawo. Miałam specjalny rejestr, gdzie wpisywałam takich delikwentów. W przypadku, gdy ktoś uporczywie uchylał się od pracy, był kierowany do ukarania przez kolegium do spraw wykroczeń*. Kolegium nakładało kary przeważnie w postaci pracy przymusowej na rzecz miasta, bo przecież karany nie pracował, więc grzywny nie mógłby zapłacić. W momencie zmiany systemu w 1990 roku byłam jedyną osobą znającą zagadnienia związane z rynkiem pracy i jedyną pracownicą nowego biura pracy. Potem przyszła do pomocy Jolanta Adamiec, a zaraz po niej Krzysztof Frankowski. Organizowała się powoli nowa instytucja.

Bardzo trudną rzeczą dla mnie była realizacja nowej ustawy o zatrudnieniu i bezrobociu, przez co wszystko diametralnie się zmieniło. To była rewolucja! Te same osoby figurujące w rejestrach i od czasu do czasu karane za uchylanie się od pracy nagle stały się bezrobotne i jeszcze państwo dawało im za to pieniądze! Ludzie stali godzinami w kolejce do rejestracji, zaduch był straszny, zdarzały się omdlenia, bo urząd nasz był do tego nieprzygotowany. W krótkim czasie znowelizowano tę nową ustawę i można było ją wdrażać spokojniej.

Obecnie oprócz czynności takich jak ewidencja bezrobotnych i wypłata zasiłków oraz związanych z tym licznych czynności dodatkowych urząd pracy realizuje inne zadania, o których nie jest powszechnie wiadomo. W nomenklaturze nosi to niezbyt wdzięczną nazwę aktywizacji zawodowej. Na niskim parterze budynku, w przeszklonym, sugerującym otwarcie na klienta, obszernym pomieszczeniu oprócz dwóch biurek rozstawiono stoliki i krzesła. Jest tu także telewizor z dużym ekranem, a pod ścianami regały z rzędami teczek zawodoznawczych i przewodników po zawodach. Napis nad drzwiami obwieszcza, że jest to sala informacji zawodowej.

Pani **Elżbieta Blachura** od 13 lat pełni funkcję licencjonowanego doradcy zawodowego I stopnia, jest też pedagogiem pracy socjalnej. Bez fałszywej skromności mówi o swoich wysokich kwalifikacjach, które wkrótce będą jeszcze wyższe, bo od listopada podejmuje studia podyplomowe, aby móc otrzymać II, najwyższy stopień doradcy. Jej praca polega na pomocy w podjęciu decyzji osobom, które stanęły na rozdrożu życiowym, bo straciły pracę i nie wiedzą, jakiego zatrudnienia szukać.

- Uważam, że bardzo dobrze znam ludzi - mówi urzędniczka. - Już po pierwszej rozmowie z klientem jestem w stanie określić to, co w nim najlepsze. Przeprowadzam też różnego rodzaju testy w celu określenia predyspozycji zawodowych. Dzięki nim można określić typ osobowości niezbędny na konkretnym stanowisku. Są osoby spełniające się doskonale w pracy z ludźmi, inni uwielbiają pracę z danymi i liczbami - ci będą dobrymi księgowymi, jeszcze inni lubią pracować ze sprzętem, maszynami. Podczas długich wielokrotnych rozmów staram się wzbudzić zaufanie klienta, abym mogła ocenić jego dalszą aktywność zawodową, na którą ma wpływ wykształcenie, doświadczenie zawodowe, umiejętności praktyczne, predyspozycje, także sytuacja zdrowotna i rodzinna. Dzięki testom i rozmowom można zawęzić pole poszukiwań. I wtedy bezrobotny zaczyna się rozglądać za pracą dopasowaną do siebie. Przecież szkoda tracić życie na błędne decyzje zawodowe - pani Elżbieta opowiada o swojej pracy z zaraźliwym entuzjazmem, cała emanuje dobrą energią. Żałuję, że będąc niegdyś na swoim zakręcie życiowym, nie spotkałam takiego dobrego ducha. - Chcę się pochwalić, że mam wielu klientów, którzy dzięki moim wysiłkom znaleźli zatrudnienie i wracają do mnie przy każdej zmianie zawodowej, bo mają już do mnie zaufanie. Czasem wpadają też tylko po to, aby potwierdzić swoje plany. Jeżeli w ciągu trzech miesięcy od pracy ze mną osoba podjęła zatrudnienie, to oznacza sukces.

Bardzo ważną informacją jest fakt, że z usług doradcy zawodowego może skorzystać nie tylko bezrobotny, lecz również osoba mająca zatrudnienie, która chciałaby zmienić pracę na dostosowaną do jej potrzeb i możliwości, a w szczególności- dostosować dokumenty aplikacyjne do nowego stanowiska pracy.

W sali aktywności zawodowej bezrobotni mogą liczyć na pomoc w wypełnieniu dokumentów aplikacyjnych, których wzory leżą w równo ułożonych stosikach (można je pobrać), jest tu wykaz firm w Legnickiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej, można też otrzymać pakiet informacji dla osób rozpoczynających działalność gospodarczą. Do obowiązków urzędniczek pracujących w tym dziale należy opiniowanie wszystkich wniosków na szkolenia zawodowe oraz wniosków na dotacje na działalność gospodarczą. Opinie zawsze poprzedzone są rozmowami z bezrobotnymi. Aby prawidłowo zaopiniować wniosek, korzysta się z publikacji naukowych. I tak na przykład kandydat na szkolenie typu *Asystent ds. płacowo - kadrowych + obsługa programu Płatnik* według naukowców winien cechować się umiejętnościami organizacyjnymi, łatwością nawiązywania kontaktów, stanowczością połączoną z uprzejmością, podzielnością uwagi, pozwalającą płynnie przechodzić z jednej czynności do drugiej, poczuciem taktu i wysoką kulturą osobistą.

Szkolenie na asystenta d/s płacowo-kadrowych

Z poradnictwa zawodowego pani Elżbiety skorzystało między innymi około 20 długotrwale bezrobotnych po 50 roku życia. Natomiast statystyki wykazują, że w powiecie jest 750 takich osób. Zastanawiające, dlaczego do pani Elżbiety nie trafiła reszta, zwłaszcza że jest to grupa traktowana przez urzędników jako osoby będące w szczególnej sytuacji na rynku pracy. Poradnictwo jest dobrowolne i istotną rzeczą jest, aby bezrobotni przekonali się o jego słuszności i skuteczności.

Wspomniane już stoliki i krzesła oraz pomoce audiowizualne w przeszklonej sali służą liderowi klubu pracy do przeprowadzania zajęć, mających na celu nauczanie metod znajdowania zatrudnienia oraz naukę autoprezentacji.

Tym razem będą prowadzone zajęcia z czteroosobową grupką z orzeczonym stopniem niepełnosprawności. Wszyscy są tu po raz pierwszy.

- Tu na tablicy wieszam kartkę, na niej są punkty: imię, wykształcenie, doświadczenie zawodowe, ukończone kursy i szkolenia, umiejętności, cechy charakteru, zainteresowania. Państwo będziecie według nich opowiadać o sobie. Kto pierwszy? Bardzo proszę, Andrzeju - zajęcia prowadzi **Ewa Michnej.**

Prowadząca z wielką swobodą i wprawą odsłania słabe punkty w nieśmiałych próbach autoprezentacji uczestników, którzy z początku opornie, potem, w miarę upływu czasu, wypowiadają się coraz swobodniej. Kolejne godziny zajęć mijają bardzo szybko. Prowadząca przedstawia działalność urzędu pracy, informuje o rodzajach kursów i szkoleń, wprowadza słuchaczy w tajniki opracowywania życiorysu zawodowego. Wszyscy są skupieni, nikt się nie nudzi. Gdy w pewnym momencie zebrani dowiadują się, że mogą siebie porównać do produktu, który chcą sprzedać pracodawcy podczas starań o pracę, po twarzach przebiega błysk zrozumienia. Dalszy ciąg zajęć odbywa się już w atmosferze wzajemnej współpracy. Zajęcia kończy półgodzinny film, który lekko i z humorem, aczkolwiek profesjonalnie, pokazuje, jak się zachować podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Film potwierdza i podsumowuje to, co podczas czterech godzin zajęć przekazała urzędniczka. Na zakończenie pani Ewa wręcza zebranym ankietę, za pomocą której dokonują oceny zajęć.

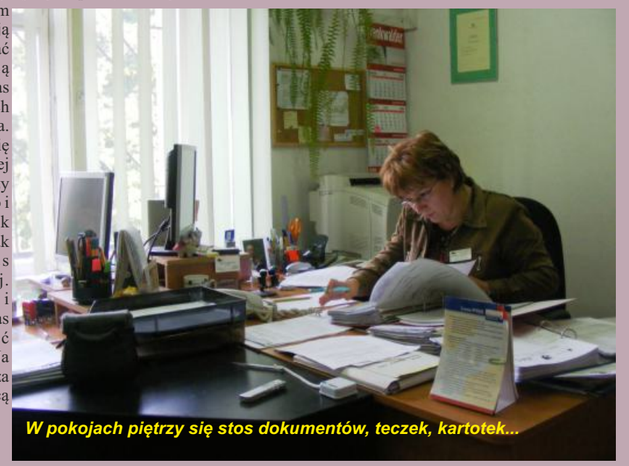
W pokojach piętrzy się stos dokumentów, teczek, kartotek...

- Pośrednik pracuje z bezrobotnym, ja ze swej strony zawężam poszukiwania odpowiedniego pracodawcy, do tego dochodzą zajęcia z liderem w klubie pracy. Zauważam, że w naszym urzędzie to świetnie wychodzi, bo już są rezultaty. I te skorelowane wysiłki kilku osób nad jednym bezrobotnym po jakimś czasie doprowadzają do efektu, jakim jest znalezienie przez niego pracy - stwierdza pani Elżbieta Blachura.

Jest to oczywiście tylko część zadań realizowanych przez Powiatowy Urząd Pracy w Złotoryi. Należy również wspomnieć o stażach, przygotowaniach zawodowych, pracach interwencyjnych, robotach publicznych, zwrocie kosztów dojazdu, udzielaniu jednorazowych środków finansowych na podjęcie działalności gospodarczej oraz innych, angażujących największą ilość środków Funduszu Pracy i aktywizujących zawodowo największą liczbę bezrobotnych - podsumowuje dyrektor Krzysztof Frankowski

Jednak pomimo tak ogromnych wysiłków urzędników bezrobocie w naszym regionie wciąż utrzymuje się na poziomie ponad 20 procent. A najlepiej, gdyby po prostu praca była i wtedy niepotrzebny byłby ani pośrednik, ani tym bardziej doradca czy inny urzędnik. Tego życzę serdecznie wszystkim mieszkańcom regionu.

*Obecnie funkcję tę pełni sąd grodzki.

Serdecznie dziękuję dyrektorowi Urzędu Pracy Panu Krzysztofowi Frankowskiemu za okazaną życzliwość, udostępnienie mnóstwa informacji oraz wszechstronną pomoc podczas zbierania materiału do niniejszego reportażu.

tekst i zdjęcia ***Agnieszka Młyńczak***

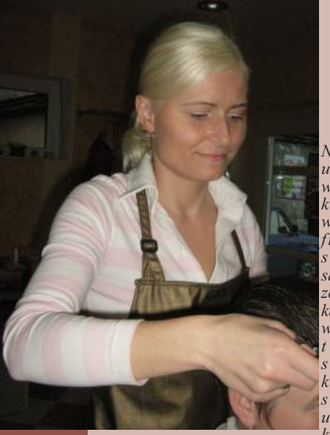

Rzeźba na głowie

Na spotkanie umówiłam się wieczorem, ostatnia klientka z wymodelowaną fryzurą opuściła salon. Wnętrze salonu urządzone jest ze smakiem. Ściany w kanarkowym kolorze wzbogacone są tynkami strukturalnymi, kafelki podłogowe stanowią uzupełnienie całej kompozycji. Na pomarańczowej sofie można się zrelaksować przeglądając czasopisma lub popijając kawę. Telewizor to dodatek do całości, aby czas milej upływał. W wystroju przeważa kolor pomarańczowy, finezyjnie upięte firanki sprawiają przyjemne wrażenie, pomarańczowe fotele ładnie wyglądają ze srebrnymi stolikami „pomocnikami". Salon może nie jest przestrzenny, ale posiada trzy stanowiska fryzjerskie, niewielką kuchenkę i pomieszczenie sanitarne.
W nowo otwartym studiu fryzjerskim „BEA" pracuje pani Beata Tarka.

***Jana Kałuża**: Urząd Pracy bezrobotnym stworzył możliwość rozwijania działalności gospodarczej dotując takie przedsięwzięcia. Jakie warunki trzeba spełnić, aby otrzymać dotację?*

BeataTarka: Postanowiłam otworzyć salon fryzjerski męsko –damski. Po urlopie wychowawczym, jako bezrobotna skorzystałam z propozycji Urzędu Pracy. Wypełniając dokumentację przedstawiłam biznes plan, który opierał się na własnym wkładzie i posiadanym lokalu.

UP zaaprobował moją propozycję przyznając mi 14 tysięcy złotych. Kredyt jest bezzwrotny w przypadku prowadzenia działalności przynajmniej przez jeden rok. W przeciwnym razie kredyt należy zwrócić.

J.K.: Kiedy Pani wiedziała, że zostanie fryzjerką?

B.T.: Tak naprawdę już w dzieciństwie robiłam fryzurki lalkom (śmieje się). Od 16 roku życia jestem fryzjerką. Uzyskałam dyplom czeladniczy i dyplom mistrzowski. Pracowałam w salonie, gdzie wprawiałam się poznając tajniki zawodu. Fascynuje mnie ten zawód „rzeźbię" fryzury. Nagrodą jest zadowolenie klienta i satysfakcja z udanej fryzury. Jestem optymistką i perfekcjonistką, lubię wszystko dopiąć na ostatni guzik.

J.K.: Jakie są Pani plany?

B.T.: Pisząc swój biznes plan nie nastawiałam się tylko na usługi fryzjerskie typu baleyage, stylizacja, modelowanie-prostowanie, farbowanie, trwała ondulacja, strzyżenie, chcę sprzedawać kosmetyki firm, które są sprawdzone, z których sama korzystam. Śledzę najnowsze trendy, aby iść z duchem czasu. Odwiedzam targi , w ostatnim czasie byłam na targach fryzjerskich w Poznaniu. Mam zamiar pozyskać następne pieniądze z UP, warunkiem jest zatrudnienie pracownika na okres 2 lat. Ważne są dla mnie szkolenia przyszłych pracowników. Każdy kurs wzbogaca wiedzę i umiejętności. Mam zamiar zrobić mały plac zabaw, aby dzieci mogły przyjemnie spędzać czas, gdy mamy są czesane.

Lokalizacja jest dobra, rachunki nie są strasznie wygórowane, ostatnim koniecznym zakupem był piec. Zbliża się zima, muszę zadbać o ciepło. Plany są dalekosiężne, mam nadzieje, że starczy mi pomysłów i siły na ich realizację.

J.K.:, Ale nie jest tak prosto dostać się do pani Beaty, tak jak w każdym salonie trzeba się zapisać na termin

B.T.: Mam już stałą liczbę osób odwiedzających salon. Szanując czas klienta umawiam go na konkretny dzień i godzinę, nie ukrywam, że pomaga to w organizacji pracy.

Przyjmuję już zamówienia na andrzejkowe baleyage, barbórkowe modelowania, sylwestrowe i studniówkowe miksy fryzurowe.

J.K.: Wszyscy lubią niespodzianki, czy ma Pani coś schowanego w „rękawie"?

B.T.: Wprowadzamy dla stałych klientów karnety, każda 10 wizyta jest darmowa, to znaczy: przewidujemy strzyżenie lub modelowanie gratis.

J.K.: Zatrudniła Pani dwie stażystki i uczennicę, jaki mają zakres obowiązków?

B.T.: W ostatnim tygodniu zdobyłam uprawnienia do szkolenia uczniów. Zdałam egzamin pedagogiczny. Uczeń nie od razu strzyże, ma swój plan szkoleniowy. Zaczyna od prostych czynności np. mycie głowy, musi opanować je według procedury… Moje stażystki posiadają umiejętności w różnych kierunkach fryzjerstwa. Jedna specjalizuje się w przedłużaniu i zagęszczaniu włosów, robieniu rastamańskich warkoczyków, natomiast druga w stylizacji fryzur, stylizacji paznokci i w wizażu. Są bardzo ambitne i pracowite.

J.K.: Media przypominają o pielęgnacji włosów, jednak zdarzają się przypadki wszawicy, jak Pani postępuje z klientem z zawszawioną głową?

B.T.: Istotą potrzeby zachowania właściwego poziomu higieny w naszym zawodzie jest dezynfekcja sprzętu. Tą czynność wykonujemy po każdorazowej usłudze. Zdarzają się głowy zawszawione, na szczęście to skrajne przypadki. Z przykrością odmawiamy wykonania strzyżenia i modelowania, nie narażając innych. To dziwne, że w XXI wieku są zawszawione głowy, półki w sklepach uginają się od kosmetyków pielęgnujących głowy, wystarczy tylko o to zadbać.

J.K.: Pracuje Pani od 9.00 do 18.00 a co z życiem rodzinnym?

B.T.: Wspólnie z mężem zadecydowaliśmy o otwarciu salonu. Moja córeczka Roksanka chodzi do przedszkola. Podczas mojej nieobecności mąż i teść sprawują nad nią opiekę. Spacery, czytanie bajek, zabawa to ich wspólne zajęcia. Kiedy wracam do domu, nadrabiam zaległości całego dnia: sprzątam, gotuję, itp. Nawiasem mówiąc lubię swoją kuchnię, to moje kolejne królestwo. Mając takie poparcie męża, godzę pracę z życiem osobistym.

Rozmawiała Jana Kałuża

Pani Justyna jest bardzo energiczną osobą z głową pełną pomysłów. Nie buja w obłokach, swoje pomysły wprowadza w życie. Jako bezrobotna zgłosiła się do Urzędu Pracy. Wypełniła stosowne dokumenty. Warunkiem otrzymania dotacji z UP jest umowa wynajmu lokalu lub akt własności. Pani Justyna wynajęła lokal, po czym zainwestowała w niego. Lokal położony jest w dobrym miejscu, w pobliżu zakładów pracy i szkoły a w sąsiedztwie jest parking. Burmistrz Miasta zaakceptował pomysł małej gastronomii przy ulicy Konopnickiej. Otrzymała dotację w kwocie 14 tys.

Kurczak jest OK

Justyna K.: To jednak niewiele, sama zainwestowałam większą sumę wydając na drogie urządzenia.Nie mogę narzekać, skoro się na to zdecydowałam.Chciałam otworzyć małą gastronomię, na której już się znam. Mama od 8 lat prowadzi Wenę. Byłam tam pracownikiem poznając tajniki kulinarne. Ale nie ma to jak na swoim-(stwierdza z uśmiechem)

Echo Złotoryi: Jak Pani zagospodarowała pieniądze?

J. K.: Zanim zaadaptowałam lokal, musiałam wydać na projekt,w grę wchodziły nowe ścianki, projekt technologiczny, koszty zarejestrowania działalności, koszty odbiorów różnych instalacji, w tym sanepidowskich, ciąg technologiczny, odbiór wentylacji, urządzenia(frytkownica, lady podgrzewające, lodówki, meble itp.) W krajach Unii jest prościej.Droga przez urzędy jest krótsza, miałam okazję się o tym przekonać. Koncesję za lokal płaci się jednorazowo, czynsz ustalany jest od obrotu, organizowane są szkolenia dla przedsiębiorców otwierających działalność. Przepisy są o wiele mniej wymagające.

E.Z.: Na początku wszystko rodzi się w bólu, a jak było u Pani?

J.K.: Lokal jest czynny od lipca tego roku, na razie rozkręcamy się. Pierwszy dostawca kurczaków się nie sprawdził, z obecnym negocjowałam kilkakrotnie, ale dopiętam swego, mam świeże kurczaki w dobrej cenie. Szukamy sprawdzonych dostawców na rynku np. kurczaki dostarcza nam producent z wdrożonym systemem HCCP (każdy produkt jest monitorowany na każdym etapie przygotowania: na etapie dostawy, na etapie przechowywania, magazynowania, na etapie obróbek wstępnych, obróbek termicznych aż do momentu, kiedy trafi do klienta). My też mamy procedury, do których musimy się stosować.

E.Z.: Czym może się posilić głodny Polak?

J.K.: Jak sama nazwa wskazuje „OK.CHICKEN" w menu przeważa kurczak, są ryby, świeże surówki(wcześniej sprawdzone na rynku), grillowane kanapki, kawa i coś słodkiego do małej czarnej też się znajdzie. Wprowadziliśmy trochę nowości, wystarczy prześledzić menu,każdy znajdzie coś dla siebie.

E.Z.: Jest wiele lokali w mieście, czy to przedsięwzięcie nie było zbyt ryzykowne?

J.K.: Doszliśmy z mężem do wniosku, że na rynku złotoryjskim brakuje punktu z kurczakami, gdzie można zjeść szybko i smacznie lub zakupić szybki obiad na wynosi.

E.Z.: W menu pojawiły się kanapki Panin`s, proszę zdradzić, cóż to za przysmak?

J.K.: Tak, to kanapki, które jadłam we Francji. Kanapki, zawierają kawałki kurczaka lub szynkę, sałatę, cebulę-warzywa a wszystko jest grillowane, kanapki są ciepłe i pyszne(w oryginalnych włoskich bułkach)

E.Z.: Nie wystarczy skonsumować, należy również zapłacić, ustalając ceny nastawiała się Pani na portfele zasobne czy przeciętne?

J.K.: Ceny starałam się dostosować do złotoryjskiego przeciętnego portfela, myślę, że dla dziecka za zestaw jak w KFC czy MC Donalds`(frytki, porcja kurczaka, surówka i napój 0, 33 i zabawka) - 9 zł to nie jest wygórowana cena, za kurczaka z warzywami 12 zł, to też chyba nie jest dużo? Nie nastawiam się na rzesze ludzi (to jak marzenie- uśmiecha się),bo lokal jest niewielki, więc nawet bym nie sprostała temu zadaniu. Ale kto wie?

E.Z.: Co Złotoryjanie najchętniej jedzą?

J.K.: Dobrze sprzedaje się kurczak po prowansalsku grillowany.

E.Z.: Wspominała Pani o swoich pomysłach, jakie one będą?

J.K.: Lubię rozkoszować się dobrą kawę, już serwuję kawę z automatu z „Nestle" jak dotąd to drugi automat w Złotoryi. Pracujemy nad zatrudnieniem osoby do rozwożenia zamówień, rozwożą pizzę, a u nas będzie to kurczak. Przeszłam kurs pedagogiczny, chcę uczyć praktykantów. To część moich pomysłów, reszty nie zdradzę (śmiech).

E.Z.: Czy zdarzają się roszczeniowi klienci?

J.K.: Tak, nie twierdzę, że krytyka nie jest potrzebna, rozważam, co można poprawić. Wiele pracy wkładamy, aby wszystko było smaczne i świeże, ale kąśliwymi uwagami przejmuję się.

E.Z.: W Złotoryi nadal jest wielu bezrobotnych, poleciłaby Pani taką formę działalności?

J.K.: Żałuję, że w UP nie ma szkoleń przygotowujących do prowadzenia małej gastronomii, małego biznesu, szkoleniowcami powinni być fachowcy. Nie spotkałam się z możliwością zaliczenia takiego kursu. A szkoda. Jeśli ktoś ma trochę własnego wkładu i głowę z pomysłami, to dlaczego nie? Życzę powodzenia. Wsparcie powinno być nie tylko finansowe, ale również merytoryczne.

Rozmawiała Jana Kałuża

Rada Gminy

Działalność **Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej** oraz działalność **sportowa i turystyczna** były głównymi tematami XIX sesji Rady Gminy w dniu 30 X 2008 r. Ocena objęto rok 2007 i pierwsze półrocze 2008 r. Obradom przewodniczył przewodniczący Rady Gminy – **Józef Pawlus**.

Analizę tematów wiodących poprzedziła informacja wójt gminy **Marii Leśnej o działaniach między sesjami** oraz interpelacje wnioski i zapytania radnych. Wójt M. Leśna podkreśliła przede wszystkim, że:

1) zostały skompletowane dokumenty i sporządzono wniosek do Regionalnego Programu Operacyjnego o rozbudowę Szkoły Podstawowej w Gierałtowcu, o salę gimnastyczną i zespół socjalny z blokiem żywieniowym,
2) sporządzono wniosek do preselekcji Zakładu Uzdatniania Wody w Gierałtowcu,
3) rozstrzygnięto przetarg na wymianę okien w Szkole Podstawowej w Gierałtowcu,
4) zakończyła się kontrola w jednostkach podległych, nie stwierdzono naruszania dyscypliny finansowej. Stwierdzono drobne usterki i uchybienia, które po ich usunięciu przyczynią się do poprawy działalności tych jednostek,
5) odebrano i rozliczono remont świetlicy w Wilkowie - Wsi,
6) Pani Wójt uczestniczyła w szeregu szkoleń, spotkań i konferencji, a mianowicie: w konwencie Wójtów i Burmistrzów w Jeleniej Górze, w spotkaniu w sprawie Wieloletniego Programu Inwestycyjnego na drogi wojewódzkie, w kongresie Gmin Wiejskich w Warszawie, w kilku uroczystościach m.in. Dniu Seniora, rocznicy Pontyfikatu Jana Pawła II, Jubileuszu Bractwa Kopaczy Złota.

Interpelacje i wnioski zgłosili:

- Radny **Zbigniew Głąb** wnioskował o wystosowanie pisma do Powiatowego Zarządu Dróg w sprawie ścięcia poboczy na drodze od Prusic dolnych w stronę Sichowa.
- Radna **Halina Olszak – Krawczyk** zwróciła się z wnioskiem o przywiezienie kamienia na uzupełnienie ubytków na parkingu przy szkole w Gierałtowcu i na drogi w Ernestynowie oraz przed sklepem.
- Radna **Irena Bratek** zgłosiła, że mieszkańcy Wilkowa - Wsi uporządkowali teren udostępniony przez Nadleśnictwo na boisko ale zwróciła się z prośbą, ażeby osoba kompetentna z Urzędu Gminy wypowiedziała się w kwestii dalszego uporządkowania terenu i nawiezienia odpadu.
- Radny **Zenon Baranowski** zgłosił wniosek o wykonanie uzupełnienia oświetlenia w Gierałtowcu poprzez zainstalowanie lampy w obrębie zabudowań rodziny Kuczyńskich. Ponadto zgłosił, że mimo wcześniejszych interwencji w Urzędzie Gminy, nic nie uczyniono z bezpańskim psem wałęsającym się po Gierałtowcu (a pies stwarza niebezpieczeństwo dla dzieci, boją się go też osoby starsze).
- Sołtys Brennika **Jan Krzepisz** biorąc pod uwagę bardzo trudną sytuację w rolnictwie, zaapelował do Rady Gminy o sporządzenie rezolucji do ministerstwa rolnictwa w sprawie wzrostu cen produktów rolnych, oraz o opracowanie programu pomocowego dla rolników. Ponadto J. Krzepisz zgłosił potrzebę, dowiezienia materiału kamiennego na pryzmę w Brenniku w celu uzupełnienia dziur na drogach.

Z informacji przygotowanej przez kierowniczkę **Urszulę Skałę** wynika, że **GOPS** w roku 2007 dysponował budżetem w wysokości 3.065.206 zł. Z takiego budżetu realizował zadania zlecone, np. zasiłki stałe (jego wysokość: od 30 do 444 zł), na które przeznaczono 127.873 zł oraz świadczenia rodzinne i opiekuńcze – 1.938.240 zł; zadania własne, np. zasiłki celowe – 117.167 zł, odpłatność za pobyt w domu pomocy społecznej – 34.102 zł, dożywianie dzieci w szkołach i zasiłki celowe na żywność – 33.097zł. Przyznanie zasiłku stałego nie wyklucza otrzymania zasiłku celowego. Niezależnie od tego GOPS realizuje tzw. zadania własne finansowane ze środków Wojewody Dolnośląskiego; wśród nich główne pozycje stanowią zasiłki okresowe – 236.000 zł (min. wys. - 20 zł). Istotną rolę pełnią świadczenia rodzinne; skorzystały z nich 694 rodziny na kwotę 1.938.240 zł (np. na 12.739 zasiłków wyasygnowano 776.408 zł).

Dość smutna jest topografia przyznawanych świadczeń. W tej statystyce przodują te miejscowości, w których ze względów politycznych oddano „pod nóż" (nieraz za bezcen) całkiem dobrze funkcjonujące niegdyś PGR – y. Tę listę ubóstwa otwiera Kwiatów (50% mieszkańców korzysta z pomocy społecznej), a kolejno: Brennik (27%), Lubiatów (26%), Rzymówka (20%), Pyskowice (15%), Łaźniki (14%), Podolany i Prusice (po 13%), Jerzmanice – Zdrój (12%). „Nowe czasy" dotknęły także ludność tych miejscowości, gdzie miejscowe lub pobliskie zakłady drastycznie ograniczyły zatrudnienie w ramach modnej niedawno „restrukturyzacji", np. Nowa Ziemia (36%), Leszczyna (21%). Na drugim biegunie znalazł się Kopacz i Wyskok, gdzie żaden z mieszkańców nie musi prosić o pomoc społeczną.

Z istotnych działań I półrocza 2008 r. podkreślić należy, że 134 rodziny skorzystały z zasiłków okresowych (156. 943 zł), zaś 144 rodziny otrzymały zasiłki celowe na żywność, opał, odzież, remont, itp. (33.070 zł), 179 uczniów korzysta z bezpłatnego dożywiania w szkołach (29.608 zł).

W dziale **kultura fizyczna i sport** zdecydowaną większość środków przeznacza się na działalność drużyn piłkarskich zrzeszonych w LZS. W analizowanym okresie w systematycznych rozgrywkach uczestniczyło 8 zespołów, w tym trzy w klasie A : „Iskra" Jerzmanice – Zdrój , „Wilkowianka" Wilków i „Lechia" Rokitnica. Wszystkie drużyny mają własne boiska, a zespoły A – klasowe oraz „Polonia" Ernestynów – także szatnie. Te tak bardzo potrzebne obiekty przygotowywane są też w Prusicach („Przyszłość") i Nowej Wsi Złotoryjskiej („Huragan"). Z obiektów sportowych najokazalej prezentuje się stadionik rokitnickiej „Lechii". To informacje pomyślne, natomiast do rzędu smutnych należy niewątpliwie ta, że „Polonia" Brennik zawiesiła swoją działalność z uwagi na niemożność skompletowania drużyny. Żal każdego zespołu, a szczególnie takiego, który ma taki dorobek i tak długą tradycję – znamy jednak sołtysa Jana Krzepisz i wierzymy, że „nie odpuści"!

Najwyższy poziom sportowy osiągnęli jednak nie piłkarze, lecz tenisiści UKS „Żak" z Gierałtowca, którzy zarówno w rankingach ogólnopolskich, a przede wszystkim dolnośląskich prawie zadomowili się w pierwszej „10", a w niektórych konkurencjach wręcz okupują czołowe pozycje.

Działalność wszystkich klubów finansowana jest przez Urząd Gminy. W półtorarocznym okresie przeznaczono na nią ok. 230 tys. zł, z których najwięcej pochłonął zakup sprzętu (ok. 87 tys.). Dużo trzeba było przeznaczyć na delegacje sędziowskie (ponad 87 tys.) i przewóz zawodników (ok. 35 tys.). Działacze klubowi potrafią zdobyć także środki pozabudżetowe, np. z Banku Spółdzielczego (Brennik, Nowa Wieś Złotoryjska) lub Stowarzyszenia Kaczawskiego (Rokitnica). Należy podkreślić, że działacze klubowi i sami zawodnicy wykonują wiele prac na rzecz klubów społecznie. Seniorzy dojeżdżają na mecze własnym transportem (dowożeni są jedynie juniorzy zespołów występujących w klubie A). Tę ostatnią informację należy zadedykować pryncypałom i dygnitarzom z PZPN oraz tombakowym gwiazdorom i zawodowcom występującym (i usiłującym grać) w polskiej tzw. ekstraklasie, którzy w pierwszych 15 min. jeszcze nie są rozgrzani, zaś na początku II połowy już brakuje im sił i wtedy „kontrolują grę" snując się po boisku, lecz jednak ambitnie grają do końca i „pokazują charakter" (to ograne wypowiedzi naszych „mistrzów").

Urząd Gminy współdziała od wielu lat z organizacjami pozarządowymi w zakresie turystyki i rekreacji. Z TMZZ współdziała i wspiera organizację trzech rajdów turystycznych:

1) Rajdu Jadwiżańskiego na trasie: Złotoryja – Rokitnica (od 1998, zawsze w październiku).
2) Rajdu „Szlakiem źródlanym" na trasie: Jerzmanice – Rokitnica – Rzymówka (od 2006, zawsze w kwietniu).
3) Rajdu „Szlakiem Czterech Świątyń Jadwiżańkich" na trasie: Złotoryja – Wysocko – Prusice – Sokołowiec (od 2007, zawsze w czerwcu i wrześniu).

Z ZTTG Urząd Gminy współdziała przy organizacji „Dymarek Kaczawskich" w Leszczynie (2007, 2008). Niezależnie od tego organizowane są turnieje: O Puchar Wójta, O Puchar Przewodniczącego Rady Gminy, O puchar wakacji.

Wspólnie z KKS „Moto – Mróz" z Rzymówki organizowany jest tradycyjny wyścig kolarski.

Na zakończenie XIX sesji Radni przyjęli uchwały, w tym m. in. w sprawie zmiany w budżecie gminy na rok 2008.

Na podstawie materiałów sesyjnych udostępnionych przez Marię Jedrzejkiewicz opracował Alfred Michler

Tajemnicza wieża w Czaplach

Tajemnicza wieża na Wójciku Wielkim

Nasz kolejny comiesięczny rajd PTTK 26. października 2008 roku rozpoczął się zbiórką na dworcu PKS, bo tym razem trasa prowadziła z Czapli do Złotoryi. Pogoda była jak na zamówienie. Piękne słońce, nieco ostre powietrze, na niebie ani chmurki, widoczność bardzo dobra. Zebrało się nas - miłośników pieszych wędrówek - aż dziesięć osób. Już na drodze do Pielgrzymki obserwowaliśmy z autobusu doskonale widoczną smukłą wieżę na wzniesieniu mocno górującym nad okolicą.

Panorama Karkonoszy ze szczytu Świątka

Wędrówka piesza rozpoczęła się od przystanku w Czaplach o godzinie 9.20, skąd leśną drogą wzdłuż posesji domu leśniczego, lekko zasapani, dotarliśmy po kilku minutach do wzniesienia Wójcik Wielki (331 m npm). Tutaj na szczycie podziwialiśmy wieżę z betonowych kręgów o wysokości około 35 metrów (według naszych szacunków). Zbudowało ją dwa lata temu nadleśnictwo Lwówek Śląski w celu obserwacji przeciwpożarowej lasów. Niestety, nie było nam dane wejść na górę i poobserwować okolicę, bo dwa dni temu zakończył się sezon obserwacji lasu i wieża była zamknięta. Wcale nas to nie zmartwiło, bo błyskawicznie ułożyliśmy trasę na wycieczkę w przyszłym roku w maju, w której uwzględniliśmy wejście na wieżę.

Po kontemplacji budowli udaliśmy się zielonym szlakiem w kierunku Twardocic. Połowa drogi prowadziła przez las, gdzie cudownie pachniało grzybami. I już po chwili Edward z Barbarą znaleźli podgrzybka, później kanię, a po pół godzinie mieli już grzyby na sos.

Tajemnicza wieża góruje nad okolicą

Z drzew opadła już większość liści, które szeleściły pod nogami, lecz te, które zostały, mieniły się całą gamą złocistych kolorów jesieni. Według mapy w bok od naszego szlaku miałyby się znajdować dwa krzyże pokutne. Nie trafiliśmy na nie jednak, bo nie wyznaczono do nich dojścia.

Po wyjściu z lasu na odkrytą przestrzeń Piotr zaproponował, abyśmy skręcili ze szlaku w prawo i weszli na wzgórze Świątek (330 m npm). Nie wiadomo, dlaczego nie prowadzi tam szlak. Wszyscy uczestnicy z zapałem wdrapywali się na ostry szczyt, niektórzy na czworakach. Ze Świątka długo podziwialiśmy panoramę lekko przymglonych Gór Kaczawskich i Karkonoszy.

Dalej szlak prowadził przez pola i łąki. Wygodną polną drogą dotarliśmy do Twardocic. Tu obejrzeliśmy zrujnowany, acz ciągle jeszcze piękny, kościół protestancki, a następnie udaliśmy się bydlęcą drogą (200 m) do pomnika szwenkfeldystów. Tutaj, nad brzegiem stawu, tradycyjnie rozpaliliśmy ognisko i zjedliśmy pieczone na nim kiełbaski. Ewa, która w tym dniu miała urodziny, poczęstowała wszystkich wyborną nalewką.

Po godzinnym odpoczynku zarządziliśmy głosowanie, czy wracamy do domu autobusem z Pielgrzymki, czy też idziemy do Złotoryi piechotą. Wszyscy ochoczo zagłosowali za drugim wariantem. Bogusia, znająca doskonale okolice Twardocic, poprowadziła nas polną drogą biegnącą środkiem wsi, po której nie jeździły samochody. Droga przywiodła do Pielgrzymki, skąd skręciliśmy w Jakubowy Szlak. Po drodze okazało się, że Piotrowi niedawno urodził się długo wyczekiwany syn Marcin. Zarządziliśmy popas, podczas którego gratulowaliśmy szczęśliwemu ojcu i spełnialiśmy toasty… herbatą z termosów. Słońce przygrzewało bardzo mocno, aczkolwiek chyliło się już ku zachodowi (był to pierwszy dzień czasu zimowego). Trzeba było ruszać dalej. W świetnych humorach dotarliśmy do Jerzmanic Zdroju. Stąd brzegiem Kaczawy, już o zmroku, po godzinie siedemnastej dotarliśmy do Złotoryi. Według Bartka, który miał w komórce gps, w tym dniu przeszliśmy 21 kilometrów.

Mimo ogromnego zmęczenia, już czekamy na następną wyprawę. Ale to dopiero za miesiąc :-(.

Agnieszka Młyńczak
Zdjęcia: Agnieszka i Henryk Młyńczakowie

Okolica od kuchni, czyli cudze chwalicie...

Złotoryja nabiera wielkomiejskiego szlifu. Już mamy własne korki, dwie sygnalizacje świetlne, na chodnikach stoją parkomaty. Ludzie też jacyś tacy wielkomiejsko nerwowi się zrobili. A na dodatek rozpleniły nam się „chickeny", czyli fastfoodowe jadło dla żyjących w pośpiechu. Jako, że nie przepadam za zapachem przerobionego oleju i skrzydełkami niewiadomej proweniencji, uznałam, że do testowania tegoż nie będę się zmuszać. Pociech własnych też nie narażę na eksperyment, bo się jeszcze rozochocą i nie tkną więcej domowego obiadu (wystarczy, że na drugie śniadanie chipsy konsumują).

Postanowiłam w listopadowe święto pojechać na obiad do Lwówka Śląskiego, gdzie kilka lat temu odkryłam interesujący lokal, który niesprawiedliwie nazwano pizzerią („Pizzeria u Izy Karwat"). Wypada żałować, że w naszym mieście ze świecą próżno szukać tak stylowego lokalu. Kameralna atmosfera niewielkiej sali, przytłumione światło, żwawa obsługa i co najważniejsze – brak dymu tytoniowego (co doceniam szczególnie po niedawnej wizycie w „Jędrusiowej Jamie") mają magiczną moc przyciągania. Wnętrze stylizowane jest na rustykalne: grabie, widły, beczki o tym dobitnie świadczą. Wszystko świetnie się komponuje z zabytkowymi odbiornikami radiowymi, tworząc typowo eklektyczny design. Jednak w restauracji najważniejsze bywa jedzenie i to też należy pochwalić.

U Izy Karwat polecam zupę węgierską, chociaż zwolennicy ognia w ustach mogą przeżyć dysonans poznawczy. Potrawa nadaje się dla ludzi o delikatnym podniebieniu. Tego raczej nie można powiedzieć o pizzy meksykańskiej. Jedząc, smaczne skądinąd ciasto z okładem, miałam wrażenie, że od papryki i chili moje usta pęcznieją i lada moment będę konkurować pod tym względem z Pamelą Anderson. Niestety, efekt chyba szybko minął, bo przeglądając się w domowym lusterku, wyglądałam jak zwykle. W pizzerii Karwatów warto też zamówić sałatkę extra. Po ognistej pizzy jedzenie delikatnego drobiowego mięska w przyprawie curry oraz sałaty, pomidorów i innych kolorowych warzyw, jest ulgą dla podniebienia czy gardła. Działa jak balsam. Na deser polecam kawę, bo takiej nie piłam w żadnym z lokali w naszym mieście, a doświadczenie mam już spore. Cappuccino z dwukolorową pianą, posypaną czekoladą, wzruszyło mnie do łez, choć nie mam pewności, czy te łzy to nie spóźniony efekt meksykańskiej pizzy

Niezależnie od tego polecam złotoryjanom lokal przy lwóweckim rynku. Przeżycia kulinarne są ekstremalne (w pozytywnym znaczeniu tego słowa) a wrażenia estetyczne - gwarantowane.

Iwona Pawłowska

Powiatowy Dzień Regionalisty po raz siódmy

Od dłuższego czasu można obserwować na terenie Ziemi Złotoryjskiej renesans idei regionalizmu. Tutaj działa kilka organizacji „miłośniczych", z których największe i najdłużej działające to TMZZ, Polskie Bractwo Kopaczy Złota, Złotoryjskie Towarzystwo Tradycji Górniczych i Koło Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk o Ziemi. Kilka lat temu powstało Koło Terenowe PTTK oraz Stowarzyszenie Przyjaciół Złotoryi „Aureus Mons". Od 2001 r. istnieje przy TMZZ Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej. Odnawiane i udostępniane są zabytki, ukazują się regionalne wydawnictwa, organizowane są liczne cykliczne imprezy, sesje popularno-naukowe itd. Pielęgnujemy złote, oświatowe i górnicze tradycje, sięgające czasów średniowiecza. Dzięki temu nasz region wraz z jego stolicą stał się szeroko znany w kraju i zagranicą.

Idea spotkań, o których piszemy, narodziła się w 2002 r. w Towarzystwie Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Podczas **I Powiatowego Dnia Regionalisty,** który zorganizowało TMZZ **w Złotoryi w 2002 r.**, zaproponowano, aby była to impreza doroczna, której głównym organizatorem powinna być inna organizacja pozarządowa lub instytucja. Odbywałaby się pod patronatem Starosty za każdym razem w innym z wielu ciekawych miejsc powiatu złotoryjskiego jesienią, czyli na zakończenie sezonu turystycznego. Skupiłaby przedstawicieli władz samorządowych, wszystkie organizacje i środowiska, krzewiące na tym terenie regionalizm, nauczycieli historii i geografii oraz uczniów wszystkich szkół z powiatu, zawierając „element poznawczy"(np. odczyt, zwiedzanie zabytków architektury, przyrody itp.) oraz rekreacyjny, np. ognisko. Spotkaniu towarzyszyłyby różne imprezy, np. kiermasz wydawnictw regionalnych i konkursy a uczestnicy otrzymaliby bezpłatnie materiały przydatne regionaliście(foldery, opracowania itp.). Pokłosiem spotkań miało być wydawnictwo, np. „rocznik regionalisty".

Prezentacja walorów Wilkowa

Stoisko regionalne

Wszystkie te założenia(za wyjątkiem ostatniego) udawało się do tej pory wcielać w życie. W 2002 r. wygłoszono referaty o idei i znaczeniu regionalizmu oraz problemach ruchu regionalnego na ziemi złotoryjskiej(R.Gorzkowski, Joanna Sosa), rozprowadzono m.in. bibliografię regionalną. **II PDR** zorganizowało **w 2003 r. w Świerzawie** Stowarzyszenie Miłośników Gór Kaczawskich oraz TMZZ. Wysłuchano prelekcji o roli Małej Ojczyzny w życiu regionalisty(Ewa Witkowska) oraz zwiedzono romański kościół św. Jana i Katarzyny. Najliczniejsze do tej pory grono uczestników zgromadził **III PDR w 2004 r.,** zorganizowany na zamku **w Grodźcu** przez Zakład Usług Turystycznych „Zamek Grodziec", Towarzystwo Przyjaciół Grodźca „Kasztelania" i TMZZ. Mariusz Olczak, autor przewodnika po Grodźcu, mówił wtedy o roli architektury w wychowaniu regionalnym oczywiście na przykładzie tegoż zamczyska. Złotoryjscy nauczyciele(Małgorzata i Mirosław Szcześniakowie) scharakteryzowali trasy turystyczne ziemi złotoryjskiej. Spotkaniu towarzyszyły pokazy walk rycerskich. W Grodźcu rozdano także nagrody i dyplomy uczniom-laureatom Powiatowego Konkursu „Katalog Młodzieżowego Miłośnika Zabytków", przeprowadzonego przez TMZZ oraz lwówecki oddział Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. **IV PDR**, zorganizowany został **w Leszczynie** w **2005** przez Złotoryjskie Towarzystwo Tradycji Górniczych oraz TMZZ. Uczestnicy przemierzyli Ścieżkę Dydaktyczno-Kulturową „Synklina Leszczyny", byli świadkami pokazu hutnictwa miedzi i wybijania okolicznościowych monet, pokazów starych zawodów, wzięli udział w wieloboju artystyczno-sprawnościowym, otrzymali zestawy regionalnych wydawnictw. W **2006** r., na **V PDR** TMZZ zaprosiło regionalistów do **Wyskoku**. Fundacja Wspierania Kultury Ruchu „Ocelot" zamierzała zorganizować tam międzynarodowy ośrodek akrobatyki artystycznej. Tutaj wysłuchano najpierw prelekcji o historii sportu w Złotoryi(R. Gorzkowski) a następnie artyści z „Ocelota" dali popis swoich umiejętności. Część towarzyską spędzono przy ognisku. **VI PDR** odbył się **w 2007 r.** w **Złotoryi** pod egidą TMZZ**.** Piotr Norko wygłosił w kościele św. Mikołaja prelekcję o walorach przyrodniczo-krajobrazowych Ziemi Złotoryjskiej, uczestnicy zwiedzili Kopalnię Złota „Aurelia" i posilili się potrawami z grilla.

Fragment kolekcji Edwarda Kozdrasia

Bardzo się ucieszyliśmy, gdy w tym roku propozycję zorganizowania **VII Powiatowego Dnia Regionalisty** przyjęło Gimnazjum w **Wilkowie.** Z pewnością uczniowie tej szkoły długo wspominać będą pełne wysiłku ale jakże potrzebne sprzątanie Ścieżki Przyrodniczo-Kulturowej „Żelazny Krzyż", której przejście było jedną z głównych atrakcji spotkania w dniu 26 września. Ścieżka powstała w 2007 r. dzięki staraniom Nadleśnictwa w Złotoryi, które teraz pomogło urządzić ognisko oraz ufundowało sadzonki dębu – otrzymały je, ku miłemu zaskoczeniu, wszystkie z grup uczestników. Ponad osiemdziesiąt zgromadzonych osób podjęto „czym chata bogata" – ciastem i napojami w gimnazjum, kiełbaskami na ognisku. Trzecioklasiści pod kierunkiem Joanny Smolińskiej-Kramarz z dumą zaprezentowali ponad osiemdziesięciu osobom walory swej miejscowości i jej okolic. Historia Wilkowa sięga przecież średniowiecza a dzięki bogactwom naturalnym, krajobrazowi a nawet ciekawym legendom, ze wszech miar warta jest bliższego poznania. Wielu turystów odwiedza Sanktuarium Matki Boskiej Fatimskiej i przystaje przy średniowiecznym krzyżu pokutnym . Wilków może się pochwalić twórcami i kolekcjonerami – wyroby prezentowała firma „Kolorek" państwa Olszowych a swój zbiór, m.in. wojennych pamiątek, pokazał Edward Kozdraś. Z kolei na trasie Ścieżki słuchaliśmy opowieści Elżbiety Dudek o lesie, ochronie przyrody oraz Nadleśnictwie (niżej podpisany przedstawił historię żelaznego krzyża i pomnika, związanego z tajemniczym dębem chrzcielnym). Powróciliśmy nie tylko z sadzonkami, ale także z wieloma wydawnictwami regionalnymi(które zapewniło gimnazjum, TMZZ i nadleśnictwo) oraz płytą z prezentacją walorów miejscowości. Część grup dotarła tutaj i wróciła pieszo, korzystając z ładnej pogody. Organizatorzy tradycyjnie zapewnili bezpłatny dojazd ze Złotoryi.

Ognisko na zakończenie wędrówki

Grupa uczestników wycieczki

Podczas spotkań regionalistów liczyć możemy przede wszystkim na obecność złotoryjan. Nie zadowala frekwencja nauczycieli i uczniów z wielu szkół powiatu. Przygotowujemy się więc do dyskusji na temat formuły imprezy, której sens, naszym zdaniem, nie budzi wątpliwości.

Roman Gorzkowski

W mrokach wojny trzydziestoletniej (1618-1648)

W Europie początków XVII wieku, targanej antagonizmem katolicko-protestanckim, rywalizacją dynastii Habsburgów z Francją oraz sporami o hegemonię w Rzeszy niemieckiej, wybuch wojny był tylko kwestią czasu. Rozpoczęła się w Czechach, gdzie protestancka większość

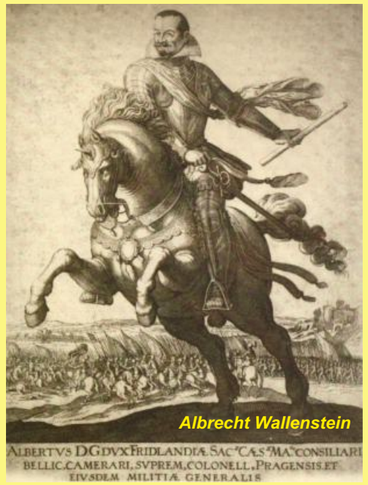

wystąpiła przeciwko naruszaniu swobody wyznania, likwidacji zborów a także dominacji żywiołu niemieckiego. Wkrótce do wojny przystąpiły następne państwa. Obóz katolicko-habsburski poparły niektóre kraje niemieckie, Hiszpania i Portugalia a protestantów głównie Szwecja, Czechy, Dania połączona z Norwegią, Holandia, Szkocja, Anglia, Saksonia oraz katolicka Francja. Obie strony zmobilizowały ponad 950 tysięcy żołnierzy. Wojna przyniosła straty około 700 tysięcy ludzi, wzrost znaczenia Francji, osłabienie Habsburgów, nabytki terytorialne oraz m.in. niepodległość Holandii i Szwajcarii (w ten sposób, niedopuszczalnie skróciwszy opis konfliktu, odsyłamy czytelników do publikacji historycznych). Polska pozostała właściwie neutralna, lecz przychylna Habsburgom, czego przykładem było powstanie oddziałów lisowczyków, o których jeszcze będzie mowa. Śląsk, przeważnie zamieszkały przez protestantów, stanął po ich stronie a po klęsce Czechów w 1620 r. doczekał się kilku wypraw, przede wszystkim wielkiego wodza katolickiej armii cesarskiej, Albrechta Wallensteina.

Złotoryjanie, wśród których katolicy stanowili mniejszość, już od początku wojny, jak zanotowali kronikarze, przeczuwali nadchodzące nieszczęścia. Takim złym znakiem była m.in. kometa, którą dostrzeżono w 1618 r. Słabe fortyfikacje i stosunkowo niewielka liczba mieszkańców(ok. 3000) nie dawały miastu szans na obronę. Przemarsze wojsk zaczęły się w 1621 r. a 22. listopada następnego roku *miał miejsce przemarsz Polaków przez Złotoryję i okolice, gdzie oni dopuścili się wielkich ekscesów i dokonali we wszystkich miejscach Śląska ogromnych szkód*(cytaty z kroniki złotoryjskiego nauczyciela Ludwika Sturma). Byli to właśnie lisowczycy, których oddziały wzięły nazwę od ich pierwszego dowódcy, pułkownika Aleksandra Lisowskiego. Walczyły po stronie Habsburgów a w ich działaniach było tyle samo męstwa co niestety okrucieństwa. 21. sierpnia 1626 r. przybył po raz pierwszy do miasta Albrecht Wallenstein. Jego armia, licząca 60 tys. ludzi, rozłożyła się głównie w najbliższych okolicach, plądrując, co się dało, rekwirując bydło, konie, napoje, pieczywo, zboże, ubrania itp. Wódz jednak udzielił Złotoryi gwarancji, dzięki której miasto miało być przynajmniej częściowo oszczędzone. Uczynił tak dlatego, iż pamiętał o tym, że w latach 1597-1598 uczył się w tutejszej szkole, nauką zresztą nie za bardzo się przejmując. Po raz drugi pojawił się Wallenstein 12. sierpnia 1627 r. a następnie jego armia opuściła Śląsk. Nie oznaczało to jednak spokoju dla naszych okolic. W następnych latach wielokrotnie doświadczano jednakowo niszczących przemarszów piechoty, jazdy, artylerii, taborów, rannych i maruderów z różnych krajów niemieckich oraz Szwedów..

W 1633 r. wojska cesarskie pod tym samym dowództwem znów wkroczyły na Śląsk. Na początku października były już w Pielgrzymce, gdzie Wallenstein założył kwaterę w pałacu. 4. października jego oddziały w sile od 4 do 6 tysięcy żołnierzy (wśród których był nawet regiment Hiszpanów)otoczyły Złotoryję. Podobno mieszkańcy liczyli nawet na ochronę z ich strony. Gdy jednak delegacja władz miasta, na czele z burmistrzem Danielem Feige, zażądała na piśmie rozkazu, wedle którego złotoryjanie mieli przygotować śniadanie dla wodza, zdenerwowani żołnierze najpierw pobili, ograbili i rozebrali członków magistratu a następnie szturmem zdobyli miasto. Przez dwa dni i jedną noc dochodziło do dantejskich scen: nie oszczędzano nikogo, bezlitośnie grabiono, torturowano i gwałcono kobiety, także w kościołach. Wieszano na rynnach i murach, żywcem palono w piecach chlebowych, przypalano płonącymi kroplami metalu, wrzucano do studni, wbijano pod paznokcie płonące drzazgi, odcinano skórę ze stóp a rany posypywano solą, niemowlęta wyrywano matkom i okrutnie zabijano, uderzając o ziemię lub ściany, wyrzucano ludzi z okien, wyłupywano oczy i obcinano nosy, zrzucano

z mostów, wzniecano pożary. Kronikarze przytaczają wiele tragicznych indywidualnych przypadków. Pewna kobieta, która zdołała ocalić jedynie najmłodsze niemowlę, uciekała z nim aż na Krucze Skały w Jerzmanicach, gdzie wołała rzucić się w przepaść, niż wpaść w ręce żołdaków. Zagrabione mienie natychmiast wywożono wozami z miasta. O tym wszystkim czytamy w broszurze, wydrukowanej w listopadzie 1633 r., w której autor, najprawdopodobniej złotoryjski pastor, *z wiarygodnych pism i dokładnych relacji tych, którzy sami przy tym byli i tyranii musieli doznawać*, opisuje jak wojska cesarskie *ponad miarę barbarzyńsko, nawet całkowicie diabelsko panoszyły w mieście Złotoryja*. Co ciekawe, dwa lata wcześniej podobny los, z tymi samymi okrutnymi scenami, spotkał Magdeburg. Jak wiemy, prawa miejskie, wzorowane właśnie na Magdeburgu, otrzymała Złotoryja w 1211 r.

Wallenstein przebywał w tym czasie w Pielgrzymce i po jakimś czasie wysłał rozkazy, aby zaprzestano plądrowania miasta. Podobno prosił o to szczególnie złotoryjski sędzia Fabricius. Wedle innych relacji, znów odegrały rolę wspomnienia z młodzieńczych lat – Albrecht wezwał nawet jedynego z pamiętających te czasy nauczycieli, kantora Fechnera, którego pod strażą przyprowadzono do wodza. Sędziwy pedagog, który niegdyś powątpiewał w pomyślne losy młodego Albrechta, pożegnał się z rodziną nie wierząc w ocalenie. Wallenstein jednak wyraził teraz nie tylko zrozumienie dla surowych metod szkolnych, ale obdarował Fechnera sakiewką monet i polecił ustawić przed jego domem straże.

W tych tragicznych dniach zostało zamordowanych 100 osób, rany odniosło 300. Kilkaset kobiet zostało zgwałconych lub uprowadzonych, choć niektórym udało się ukryć w okolicznych lasach i kamieniołomach i wrócić do miasta. O tym, jak złotoryjanie wyczekiwali spokojnych dni, świadczy wmurowanie w 1636 r. w pobliżu Baszty Kowalskiej kamienia z napisem *Pax optima omnium rerum*(Pokój jest najlepszy spośród wszystkich rzeczy). Jednak na domiar złego, wkrótce inni żołnierze zawlekli do miasta zarazę a w 1638 r. kolejne straty spowodował pożar.

Opis najazdu na Złotoryję w październiku 1633 r.

Przez następne lata wojenne marszruty nadal przeplatały się z rekwizycjami i pospolitymi aktami grabieży. W 1637 i 1639 kroniki odnotowały pobyt silnych oddziałów Polaków i Szwedów. Przemarsze wojsk zakończyli ci ostatni dopiero w 1647 r. Wszystkie opisane wydarzenia spowodowały, że w ciągu trzydziestu lat wojny liczba mieszkańców miasta zmalała aż o 70%. Miasto wydało na nią blisko 138 tysięcy talarów.

Wielkie straty poniosły okoliczne miejscowości – m.in. zrujnowano zamek w Grodźcu, spalono większą cześć Wilkowa, zniszczono kościół i cmentarz w Jerzmanicach.

Jednak do podobnych tragedii nie dochodziło w tych czasach codziennie. W latach 1621-1623 działała jedyna w historii miasta mennica(o której powstaje artykuł), w 1619 roku otwierano studnię i zawieszono dzwony w kościele Mariackim, w latach 1620-1621 rozebrano i odbudowano małą wieżę tej świątyni. W 1634 r. sukiennicy uruchomili farbiarnię, trzy lata później z okna plebanii protestanckiej (Pl. Niepodległości 4, na fasadzie odnośna inskrypcja) wypadł młody mężczyzna.

W mieście zachowało się z tych lat kilkanaście ciekawych zabytków. Na zewnątrz kościoła NNMP znajduje się osiem epitafiów z lat 1623-1647, w przedsionku kościoła widnieje inskrypcja *CP 1639*. Na kamienicy w Rynku (siedziba Banku Zachodniego WBK S.A.) istnieje inskrypcja z 1623 r. dotycząca ówczesnych prac budowlanych. W 1630 r. umieszczono na młynie przy ul. Kolejowej pamiątkową tablicę o powodzi w 1608 r. Jeszcze do niedawna w wieży kościoła Mariackiego znajdowały się masywne drzwi z wyrytą datą 1621.

Roman Gorzkowski

Co się stało z kolekcją monet Leopolda Schmetterlinga?

W 1973 r. Leopold Schmetterling przekazał miastu ponad tysiąc różnego rodzaju przedmiotów. Samych książek było ponad osiemset, prócz tego pokaźny zbiór wyrobów ze szkła, korali, bursztynu, znalezisk archeologicznych, muszli, porcelany, kamieni szlachetnych i wiele innych okazów. Wśród nich zrozumiałe zainteresowanie budziła kolekcja numizmatów.

Tuż po przybyciu do Złotoryi Schmetterling zmarł, przekonany, że złotoryjanie uszanują dorobek jego całego życia i cieszyć się będą obcowaniem z pamiątkami historii. Pierwszy z niżej podpisanych zobowiązał się, w jednej z ostatnich rozmów ze Schmeterlingiem, że zrobi wszystko, aby kolekcja nie trafiła w niepowołane ręce. Nie mógł uczynić inaczej, gdyż ofiarodawca prosił o należytą opiekę nad zbiorami.

Los poszczególnych części zbiorów Leopolda był jednak różny. Większość ksiąg trafiła do złotoryjskiej Biblioteki Pedagogicznej, inne przedmioty wciąż są inwentaryzowane, niektóre były lub są częściowo eksponowane w Muzeum Złota.

Niestety, ani zaraz po przywiezieniu kolekcji, ani w następnych latach, nie sporządzono ich całościowej inwentaryzacji. Nie spełniły swojego zadania podejmowane próby częściowych spisów pod kątem wystawiania eksponatów w powstałym Społecznym Muzeum Ziemi Złotoryjskiej, zwanym „Katownią".

W latach 1990-1991 działała w mieście komisja, powołana na sesji Rady Miasta i Gminy w lipcu 1990 roku, której zadaniem było *skontrolowanie pozostałych zbiorów* Schmetterlinga. W lipcu 1991 roku powstało obszerne sprawozdanie komisji, która stwierdziła ubytki właściwie we wszystkich częściach zbioru. Odnośnie numizmatów komisja potwierdziła, że *w kasie pancernej Urzędu Miasta i Gminy znajdują się zbiory numizmatyczne z różnych okresów. Przeważają monety srebrne. Stwierdzono ukryte dwie monety złote austriackie tzw. „lipki" – zostały one włożone do jednej z przegródek i przełożone monetami srebrnymi. Występuje duża ilość monet z metali nieszlachetnych, żelaza, niklu, stopów mieszanych, mosiądzu, miedzi, aluminium.[…]Pozornie były one opieczętowane, zalakowane ale jak stwierdzono bez szczegółowych charakterystycznych opisów ewidencyjnych.* Już wówczas, zdaniem komisji, brakowało najcenniejszych monet. Nigdy, jak nam wiadomo, nie został wykonany wniosek komisji, aby dokonać jak najszybszego pełnego zinwentaryzowania wszystkich pozostałych eksponatów, w tym oczywiście monet.

Jeszcze kilka miesięcy temu byliśmy przekonani, że zbiory numizmatyczne Leopolda Schmetterlinga wciąż czekają na inwentaryzację oraz należyte wyeksponowanie. W kwietniu 2008 r., w odpowiedzi na interpelację drugiego z niżej podpisanych podczas sesji Rady Miejskiej, burmistrz miasta oświadczył, iż obejmując swoje stanowisko w 2002 r., nie zastał już żadnych zbiorów numizmatycznych na terenie Urzędu Miasta. Ze wstępnych rozmów, jakie niedawno przeprowadziliśmy z dyrektorem ZOKiR oraz kierownikiem Muzeum Złota., wynika, że kolekcja monet nigdy nie trafiła do tych dwóch instytucji. Według relacji członków władz miejskich kadencji 1998-2002 o monetach nie było wówczas w ogóle mowy. Przedstawiciele władz z lat 1994-1998 twierdzą, że również nie podejmowali decyzji w tej materii. Niżej podpisani zdają sobie sprawę, że i na nich ciąży grzech zaniechania.

Co więc się stało ze zbiorem numizmatów Leopolda Schmetterlinga? Czy kiedykolwiek uda się wyjaśnić ich złotoryjskie losy? Prosimy o kontakt wszystkich, którzy mogliby pomóc w rozwikłaniu tej sprawy.

Kazimierz Ruta, Roman Gorzkowski

Warto przeczytać

Rycerze i złoto w jednym stali domu

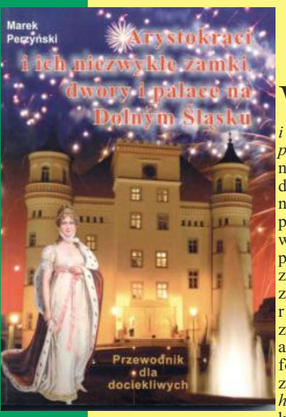

W książce Marka Perzyńskiego *Arystokraci i ich niezwykłe zamki, dwory i pałace na Dolnym Śląsku*, która niedawno ujrzała światło dzienne, dwa rozdziały dotyczą naszego regionu. W pierwszym pt. *Kasztelan się zbroi*, rzuca się w oczy najpierw majestatyczna postać Zenona Bernackiego, zawiadującego, jak wiadomo, zamkiem w Grodźcu. W rozdziale- ciekawostki, związane z zamczyskiem, a także archiwalne i współczesne fotografie. Fragment książki zatytułowany *Złotonośny wiatr historii*, omawia średniowieczną kolonizację Śląska, powstanie Złotoryi, górnictwo złota, rolę księcia Henryka Brodatego i św. Jadwigi a także losy książęcej rezydencji w Rokitnicy. Zachęcamy oczywiście do przeczytania całej publikacji.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Kilka miesięcy po wojnie

Niejeden Czytelnik a z pewnością każdy kolekcjoner starych złotoryjskich widokówek spyta, dlaczego raz jeszcze pokazujemy dość znany fragment Alei Miłej, skoro już kilkakrotnie był publikowany. Osoby, które tę fotografię z pierwszej połowy XX wieku widzą po raz pierwszy, mogą zauważyć nieistniejące już dzisiaj fragmenty murów obronnych oraz inne obiekty. Dla badaczy czasów powojennych istotny jest fakt, że ową przedwojenną widokówkę wysłano ze Złotoryi po wojnie, konkretnie na początku stycznia 1946 r., choć i to nie dziwi, skoro pierwsze polskie widokówki pojawiły się kilka lat po wojnie. O wiele istotniejsza jest treść korespondencji. Mężczyzna o trudnym do odczytania imieniu(być może Michał lub Marian) tak pisał do Gizeli Chmielowskiej do Krakowa, podając jako adres ul. Sienną 2 z dopiskiem Kuratorium Szkolne Krakowskie: *Gezi! O 7 wieczorem byłem już w Złotoryi. Podróż miałem dość dobrą i ciepło mi było mimo mojego płaszczyka. W domu zastałem wszystko w porządku i tylko nie ma mebli, bo tam gdzie się staralem zawiodły nadzieje. List Twój otrzymałem, na przyszłość pisz nie tak sucho – a serdeczniej i szczerzej, jak to przyjaciele. Pracy mam dość – pisz mi o wszystkim co się tam z wami dzieje*[dalej kilka nieczytelnych słów] *Pa! Całuję Cię mocno. Pozdrów Elę*[?]. Pod fotografią jeszcze dopisek: *ul. Gen. Sikorskiego 11 ulica gdzie mieszkam i gdzie jest* [znów dwa słowa trudne do odczytania]. Wymieniona ulica, jak wiadomo, otrzymała wkrótce nazwę Alei Lenina a potem Alei Miłej. Aż chce się zbadać losy zarówno nadawcy jak i adresata – czy pomogą Czytelnicy?

Historia jednej fotografii

W piaskownicy?

Zdjęcie obok powstało ponad czterdzieści lat temu. Wśród bawiących się dzieci są znani i szanowani obywatele naszego miasta. Pytanie brzmi: gdzie zostało zrobione zdjęcie? A może rozpoznajecie Państwo bawiące się urwisy?

Robert Pawłowski

Pan Przemysław Markiewicz po raz kolejny prawidłowo rozszyfrował fotografie z wrześniowego i październikowego numeru naszego czasopisma. Chodziło oczywiście o wmurowanie kamienia węgielnego pod pomnik Wojska Polskiego w 1968 r. oraz o pomnik odsłonięty w listopadzie 1978 r. u zbiegu ulic Garbarskiej i Zielonej z okazji 60.rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę. O losie drugiego z obelisków tak informowała *Gazeta Złotoryjska* z dnia 12 kwietnia 1991 r.: *W związku z dewastacją rzeźby plenerowej przy ul. Zielonej w Złotoryi Burmistrz Miasta i Gminy podjął decyzję o czasowym jej zdemontowaniu. Celem demontażu jest przeprowadzenie niezbędnych prac renowacyjnych.* Jak wiadomo, w wyniku kolejnych decyzji, pomnik nie doczekał się renowacji.

Roman Gorzkowski

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
"Bazalt" SA w Wilkowie

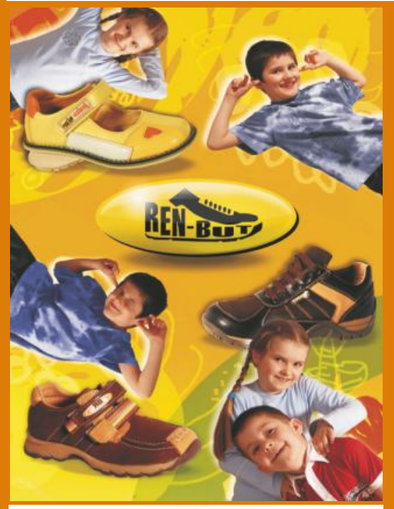

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

VITBIS

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A.
KSS S.A.
ZŁOTORYJA

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe

STONESPOL
- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023